



Bajki świętokrzyskie



BAJKI ŚWIĘTOKRZYSKIE

Wydawca:

Regionalna Organizacja Turystyczna Województwa Świętokrzyskiego
ul. Ściegiennego 2/32, 25-033 Kielce
tel.41 361 80 57, e-mail: rot@swietokrzyskie.travel
www.swietokrzyskie.travel



Autor tekstów:

Tomasz Kukuła
Digital Promotion
Ul. Olszewskiego 6, 25-663 Kielce
tel. 41 373 22 29, e-mail: office@digitalpromotion.pl
www.digitalpromotion.pl

Autor ilustracji:

Joanna Lzydor
e-mail: jzydor@gmail.com
www.joannaizydor.com



JUREK CHWAT

I TAJEMNICZA SKRZYNIA



Kochani, jeśli lubicie łąmigłówki, pewnie spodoba wam się historia, którą za chwilę usłyszycie.

Jurek Chwat - tak nazywa się bohater naszej opowieści. O tym, jak wygląda Jurek Chwat, nie będę się rozpisywał, bo przypuszczam, że sami nie raz go już widzieliście...

- Nie widzieliście? Niemożliwe! Nie mówcie, że nie graliście jeszcze w tę super grę komputerową albo, że nie oglądaliście tej kreskówki, której Jurek Chwat jest prawdziwą gwiazdą!

- Nie wszyscy?! O nieeee! W takim razie koniecznie musicie to nadrobić. Uwaga, podaję adres strony internetowej, gdzie będziecie mogli zobaczyć owego przystojniaka: www.szlakarcheogeo.pl. Dobrze, ale to na potem. Pozwólcie, że teraz rozpocznę moją opowieść.

Jurek był podróżnikiem „ogólnoświatowym”. Gdyby jednak ktoś go zapytał o miejsca, które warto zwiedzić w jego własnym kraju, odpowiedź nie zabrałaby mu zbyt wiele czasu... Taki rodzaj niewiedzy dorośli nazywają „ignorancją”. Słowo trudne do wymówienia, jednak jeszcze trudniejsze jest zaakceptowanie tego, co ono oznacza. Jakby nie patrzeć, jest to coś złego, a świat jest już tak urządzony, że ci, co robią źle, prędzej czy później dostają nauczki. Podobnie więc stało się i w tym przypadku.



Otóż zbliżały się imieniny mamy naszego podróżnika. Jak dotąd synalek rzadko pamiętał o tym święcie, przez co nie raz sprawiał mamie przykrość, a sobie przysparzał wstydu. Tym razem postanowił, że będzie inaczej i że nie tylko nie zapomni, ale i przywiezie dla mamy prezent, jakiego nie ofiarowałby jej nikt inny. Będąc na jednej z zagranicznych wypraw, znalazł kosztowny naszyjnik, wysadzany perłami i drogimi kamieniami. Spodobał mu się on tak bardzo, że bez zastanowienia kupił go z myślą o solenizantce. Ale, że taki prezent wymaga odpowiedniej oprawy, Jurek postanowił zapakować naszyjnik do pięknej, rzeźbionej skrzynki. Wprawdzie, kiedy ją kupował u pewnego egipskiego handlarza, ten powiedział łamaną polszczyzną:

- OCZEGAM! YNIA EST AKĘTA!

Jurek jednak, spoglądając na podniesione wieko drewnianego pudełka, pomyślał, że handlarz musiał zbyt długo stać na słońcu. Skrzynia przecież wcale nie była zamknięta...

Po powrocie do domu skrzętnie zapakował wyjątkowy prezent i... zamknął wieko! Tak. Zamknął! A przy tym, zupełnie nieświadomie, zatrasnął trzy potężne metalowe spusty...



Jurek odwiedził chyba wszystkich ślusarzy w mieście. Jednak mimo wysiłków, żaden z nich nie był w stanie otworzyć nietypowych zamków. Kiedy wreszcie zrezygnowany wrócił do domu, spostrzegł, że w szczelinę między drzwiami a futryną wciśnięty jest list! Na kopercie brakowało wprawdzie nadawcy, ale za to był dokładny adres Jurka. Najciekawsza była jednak treść listu:

*Do otwarcia skrzyni trzeba Ci trzech szyfrów!
Poznasz je, zwiedzając raj geo-turystów.
Choć sprawa to trudna, nie poddasz się
chyba?*

Pierwszym szyfrem słowa są:...(?)...

*By odnaleźć drugi szyfr tak jak należy,
Idź tam, gdzie wspaniały amfiteatr leży
I czternaście jaskiń wśród wapiennych złogów*

A kolejny szyfr to:...(?)...

*Aby trzeci z szyfrów znaleźć na odmianę
Idź, gdzie skały mocno są pofałdowane
Choć niektórzy stwierdzą, żeś jest człek
szalony,*

Trzecim szyfrem słowa są:...(?)...



Jurek spoglądał to na list, to na skrzynię. Wreszcie spostrzegł, że na jej tylnej ścianie znajduje się coś podobnego do tarczy starego telefonu, z tą jednak różnicą, że na telefonach były cyfry od zera do dziewięciu, natomiast na skrzyni, zamiast cyfr, widniały wszystkie litery alfabetu. Tarczą można było kręcić tak, by wybierać za każdym razem potrzebną literę do ułożenia... szyfru!!!

- O rany! – pomyślał przypomniawszy sobie nagle egipskiego sprzedawcę. Owe: „Ynia Est Akęta” nie oznaczało najwyraźniej, że „skrzynia jest zamknięta”, ale że

„SKRZYNIA JEST ZAKLĘTA”!



- Gdzie ja mam szukać tych szyfrów? – pytał sam siebie Jurek, czytając po raz kolejny dziwną wiadomość. Wreszcie włączył laptop i wpisał w przeglądarce internetowej hasło „raj geo-turystów”. Na monitorze pojawiła się informacja, że w mieście Kielce znajduje się aż pięć rezerwatów przyrody, w tym cztery geologiczne. Z tego też powodu Kielce nazywane są także „muzeum geologicznym pod gołym niebem” oraz rajem dla geo-turystów, czyli miłośników i badaczy dziejów naszej planety. Co więcej, na terenie rezerwatu „**Wietrznia**” powstało nowoczesne Centrum Geoedukacji.

- Świetnie! Tam zgłoszę się po pomoc w odnalezieniu szyfrów! - wykrzyknął Jurek, po czym spakował tajemniczy kufer do samochodu i rozpoczął swoją magiczną ekspedycję.



Jurek po raz pierwszy w życiu znalazł się w rezerwacie geologicznym. Widok był niesamowity: gdzie okiem sięgnąć zielone kwitnące łąki, a wśród nich... A wśród nich ogromna - głęboka i długa na kilometr przepaść o stromych jak wodospad ścianach. W jeden z brzegów przepaści wkomponowany był niesamowity, kosmiczny wręcz budynek z ogrodem zamiast dachu - było to owo **Centrum Geoedukacji**.



- O wow! - wykrzyknął podróżnik i już po chwili wszedł do środka. I właśnie, kiedy miał poprosić kogoś o pomoc, uświadomił sobie, że przecież nikt mu nie uwierzy w historię o szyfrach do egipskiej skrzyni! Z obawy przed utratą reputacji postanowił więc, że odnajdzie szyfry na własną rękę. Zabierając jeden z wyłożonych przy drzwiach przewodników, wyszedł na zewnątrz i ruszył stromą ścieżką w dół wapiennej przepaści.



Tu, gdzie dzisiaj jest Rezerwat Wietrznia, niegdyś funkcjonował ogromny kamieniołom, z którego przez lata wydobywano kruszec do budowy dróg. Podczas wydobywania robotnicy odstawiali kolejne skalne warstwy oraz ukryte w nich skarby! I choć nie było to ani złoto, ani klejnoty, to wartość owych skarbów ściągała w te strony geologów z całego świata. Cóż to więc mogło być? Ano chociażby wyjątkowe i niespotykane nigdzie indziej **skamieniałości** zwierząt sprzed wielu milionów lat, na przykład bardzo dobrze zachowany szkielet krwiożerczej pancernej ryby, uzbrojonej w ostre zęby i pancerz na ciele! Wertując strony przewodnika, Jurek dowiedział się także, że te skamieniałe ryby znalazły się tam nieprzypadkowo, bo miliony lat wstecz, w miejscu, w którym on spaceruje dzisiaj, nie moczając nawet palca, falowało morze! Zaciekawiony kolejnymi skamieniałymi znaleziskami Jurek zaglądał do jaskiń, wspinał się na strome zbocza i gdyby nie sms od mamy, zapomniałby pewnie, po co tu właściwie przyjechał. Teraz jednak otrząsnął się, sięgnął do kieszeni po list i przeczytał wers z tajemniczą podpowiedzią:

„Choć zadanie trudne nie poddasz się chyba?
Pierwszym szyfrem słowa są...?... „

- Tu musi być coś, co rymuje się do „chyba” - kombinował, drapiąc się po głowie. Aż nagle – olśnienie!

- Pancerna ryba! - wykrzyknął – Pancerna ryba! Czym prędzej wrócił do samochodu, gdzie obracając okrągłą tarczą na egipskiej skrzyni, literka po literce wprowadził szyfr: **„PANCERNA RYBA”**.

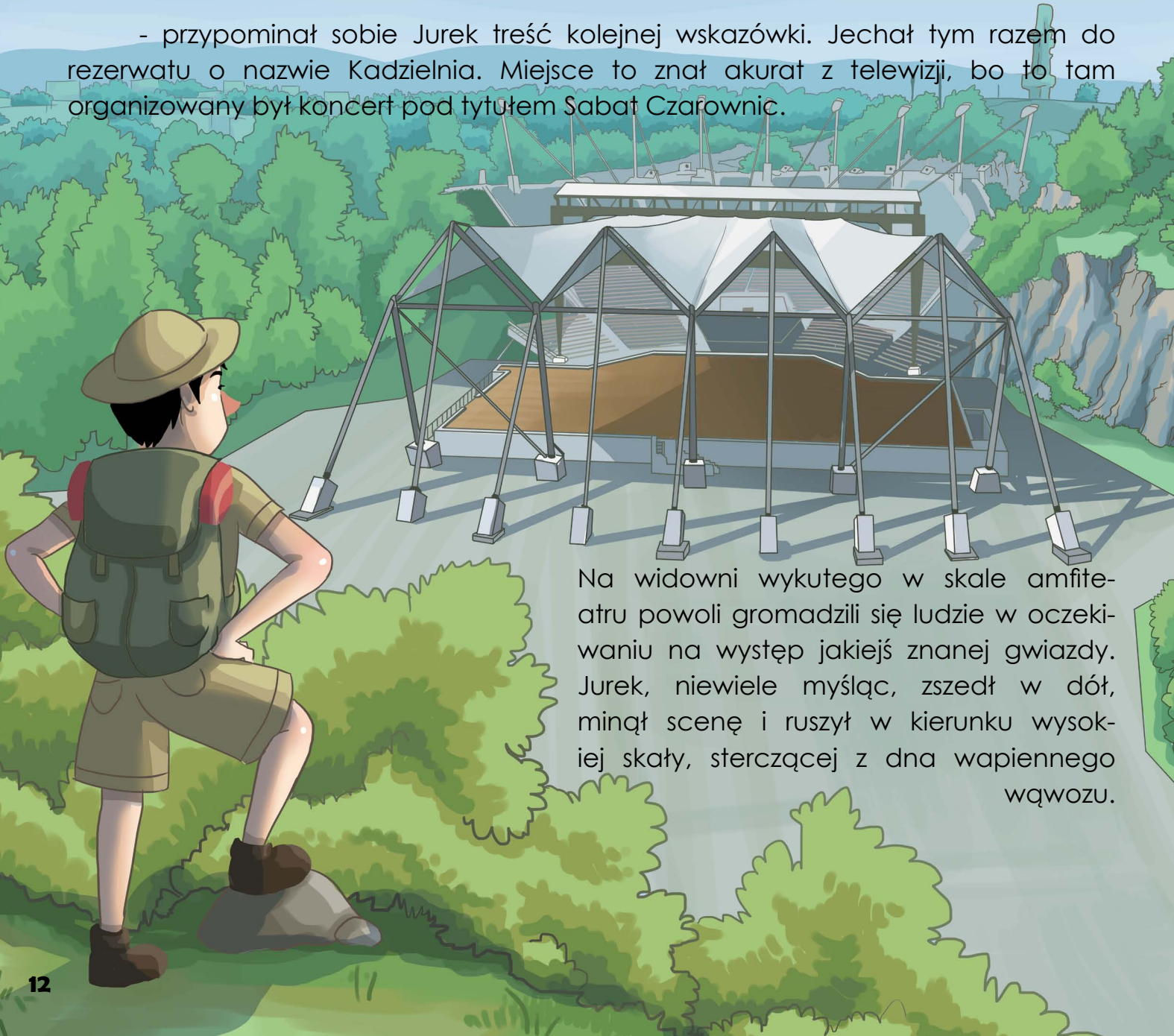
Wreszcie wstrzymał oddech i... trach! Pierwszy zamek otworzył się z chrzęstem...

- To działa! – wrzasnął, budząc śpiące w rezerwacie echo – To działa!



„By odnaleźć drugi szyfr, tak jak należy,
idź tam, gdzie wspaniały **AMFITEATR** leży”

- przypominał sobie Jurek treść kolejnej wskazówki. Jechał tym razem do rezerwatu o nazwie Kadzielnia. Miejsce to znał akurat z telewizji, bo to tam organizowany był koncert pod tytułem Sabat Czarownic.



Na widowni wykutego w skale amfiteatru powoli gromadzili się ludzie w oczekiwaniu na występ jakiejś znanej gwiazdy. Jurek, niewiele myśląc, zszedł w dół, minął scenę i ruszył w kierunku wysokiej skały, sterczącej z dna wapiennego wąwozu.

Z daleka owa skała przypominała gigantyczny kopiec termitów. U jej podnóża pewien alpinista przygotowywał ekwipunek, by za chwilę rozpocząć wspinaczkę. Jurek podszedł do niego i przywitał się grzecznie. I chyba miał szczęście, bo alpinista był wyjątkowym gadułą. Bez pytania opowiedział Jurkowi, jak wspaniałą przygodą jest wspinaczka w tym miejscu, jak cudownie jest czuć pod palcami te wapienne skały i jak niesamowity widok rozpościera się ze szczytu.

- Więc to wszystko jest z wapienia? – zapytał Jurek.

- No tak. W końcu ten rezerwat utworzono na miejscu dawnego **kamieniołomu**, w którym wydobywano wapień oraz wypalano wapno – odparł alpinista.

- A czemu ta skała jest taka dziurawa?

- Ach – zaśmiał się alpinista – te dziury,



o których pan mówi,

to jaskinie! W całej tej skałce jest ich aż czternaście! Jeśli pan chce, mogę pana potem oprowadzić. Uwielbiam zwiedzać to miejsce. Te trzy jaskinie – kontynuował, wskazując palcem - zostały niedawno połączone, i zamienione w niezwykłą podziemną trasę.

To prawdziwy rarytas dla miłośników geologii, bo można tu natrafić na skamieniałości zwierząt morskich sprzed 350 mln lat, czy na zatopione w skale kości nietoperzy! Stąd zresztą pochodzi nazwa tego miejsca, czyli „Skałka geologów” – zaśmiał się alpinista i z mozolem ruszył w górę.

Jurka znów jakby ołśniło.

„**Gdzie czternaście jaskiń wśród wapiennych złogów...**”

- Jest czternaście jaskiń, jest wapienna skała – myślał. - Bo kolejnym szyfrem...

SKAŁKA GEOLOGÓW!

- wykrzyknął nagle i nie czekając już na powrót alpinisty, pobiegł w kierunku auta, podskakując w takt muzyki,

płynącej ze sceny ogromnego amfiteatru. Dopadłszy wreszcie skrzyni, wykręcił kolejny szyfr: „SKAŁKA GEOLOGÓW”, a następny zamek z chrzęstem poddał się odkrywcy...

Samochód Jurka prawie zwiłaj kołami asfalt kieleckiej drogi. Jednak podekscytowany kierowca bez litości wciskał pedał gazu, powtarzając w koło trzecią odpowiedź z listu – wskazówki. Jechał tym razem do kolejnego kieleckiego rezerwatu o nazwie **Ślichowice**, również powstałego na terenie byłego kamieniołomu.



Podczas wydobycia kamienia odkryto tu unikalny układ warstw skalnych, przez co nie tylko miłośnicy geologii, ale i wycieczki szkolne z całej Polski przybywają w to miejsce, by obejrzeć to wyjątkowe skalne zjawisko.

Tym razem Jurek także spotkał jedną z takich wycieczek. Nic nie mówiąc, przyłączył się do grupy uczniów i słuchając przewodnika, powtarzał w myślach swoją trzecią wskazówkę:

„Choć niektórzy stwierdzą, żeś jest człek szalony,
- Trzecim szyfrem słowa są...”

- ...**FAŁD OBALONY** - jakby dokończył za nim przewodnik, pokazując niezwykle ułożone i pofałdowane skalne warstwy.

- Co pan powiedział? – zapytał Jurek, jakby nie wierząc własnym uszom.

- Fałd obalony! – powtórzył zdziwiony przewodnik.

- Tak! To jest to! To jest trzeci szyfr – wykrzyknął Jurek i niewiele myśląc, pobiegł w kierunku samochodu, odprowadzany wzrokiem zdziwionych dzieciaków.



Mama była zachwycona prezentem, zapakowanym tym razem w zwykły papier. Zaraz po tym jak Jurkowi udało się otworzyć tajemniczą skrzynię, szybko znalazł na nią nabywcę.

Ostrzegali on oczywiście nowych właścicieli, że

SKRZYŃIA JEST ZAKŁĘTA!

Ci jednak niewiele się ową przestroga przejęli, spoglądając na Jurka jak na człowieka, który spędził zbyt wiele godzin na słońcu. Tym sposobem skrzynia zapewne wędruje teraz z rąk do rąk, a dowodem jej istnienia jest fakt, że kiedykolwiek odwiedzam Kielce, zawsze spotykam turystów pytających o rezerwat Wietrznia, Ślichowice czy Kadzielnia.

Przygoda Jurka Chwata przypomina nam ważne powiedzenie: „**Cudze chwalicie, swego nie znacie**”. Oczywiście dobrze jest widzieć piramidy czy wodospad Niagara. Nie należy przy tym jednak zapominać, jak wspaniałe miejsca i obiekty są tuż obok nas. Sam Jurek Chwat dzięki tej przygodzie zainteresował się tematyką skamieniałości i geologii do tego stopnia, że założył klub geo-turystów. Razem z przyjaciółmi zwiedzał najciekawsze zakątki Polski, a przede wszystkim regionu Świętokrzyskiego.

Jeśli Wy, moi drodzy, chcielibyście spróbować swoich sił w rozwiązywaniu podobnej łamigłówki, bardzo proszę - zabierzcie rodziców, przyjaciół i wyruszajcie w miejsca, o których będzie mowa w podpowiedzi. Uwaga! Wysyłam do Was list. **Do dzieła!**



Jesteś bardzo bliski zakończenia sprawy,
Chociaż sporo jeszcze czeka cię zabawy!
W miejsca kropek zgrabnie cztery szyfry wprowadź
Pamiętaj, że słowa muszą się rymować!

Pierwszy szyfr odnajdziesz bez trudności krztyny,
Jadąc w okolice miasteczka Chęciny
Jest tam wioska Skiby i jako się rzekło,
Znajdziesz tam szyfr, który brzmi:?....

Drugim szyfrem będzie rzecz znana i sławna,
Coś, co u sufitu zwisa już od dawna.
A znajdziesz to w miejscu, które zwie się dziwnie,
Prawie tak jak to, co wcześniej, tyle że przeciwnie...
Opodal, w Zachełmiu, niedaleko wcale
Są odciski łapek, utrwalone w skale,
Zrobiło je zwierzę, jednak nie był to kot.
Szyfrem będzie jego nazwa, co brzmi ...?...

Jedź też do Krzemionek, gdzie przodków testament
Będiesz mógł zobaczyć - świętokrzyski diament.
Poznasz tam ich bóstwa - a w tym Matkę Ziemię
Zaś twój czwarty szyfr do skrzyni brzmi...?...

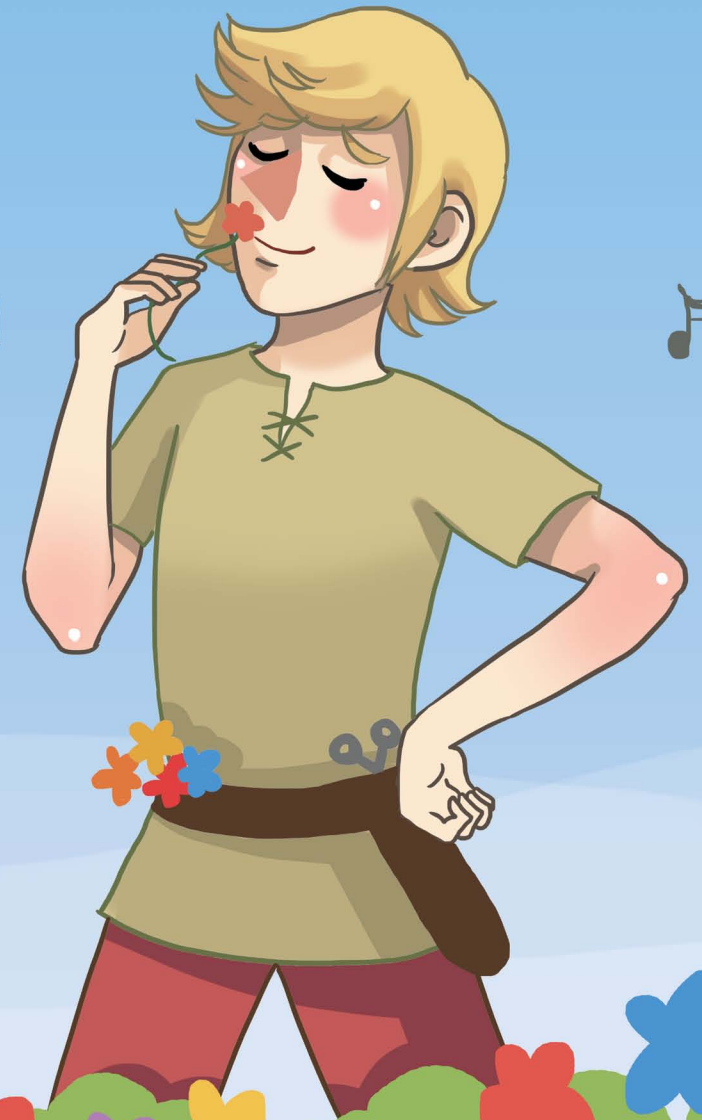
Wskazówki do szyfrów znajdziecie także na wspomnianej już stronie internetowej:

WWW.SZLAKARCHEO.GEO.PL

Powodzenia.



**OPowieŚĆ
O MARZENIACH
(DOBREJ
FRYZURZE**



Był niegdyś w **Sandomierzu** rycerz potężny, który bił się we wszystkich chyba bitwach, jakie w Rzeczypospolitej na czas jego życia przypadły. Przez to rycerz ów majątek i uznanie króla sobie zyskał, a że w żadnej z wojen ran poważniejszych nie odniósł, to i szczęśliwie sędziwego wieku doczekał. Na jego temat więc tyle. Więcej bowiem o jego synach opowiedzieć Wam chcemy, bo miał ich ów mocarz aż pięciu (mimo że za młodych lat prawie wcale do domu nie wracał). Bogobojny on jednak był i małżonce bezgranicznie ufający, stąd, synów pojawienie się za cud uznawszy, złotem jej i kosztownościami się odwzajemniał...

Ojciec niczego nie pragnął tak mocno, jak tego, by synów na podobnych sobie wychować. I rzec by można, że pragnienie owo bliskie było spełnienia, bo synowie siłą i walecznością wcale mu nie ustępowali. Kiedy rosł z kury jedli, Sandomierzanie myśleli, że wicher wodą w Wiśle szarpie, a kiedy kuflami w stół uderzali, bali się mieszczanie i kmiecie, że oto nowa wojna idzie, bo gdzieś tam z armat strzelają...
Wszyscy tacy byli. Wszyscy, prócz jednego – najmłodszego...





Bo najmłodszy nieco cherlawy się urodził, ani do braci ani do ojca z wyglądu się nie upodabniając. Chudy był strasznie, oczy miał wyłupiaste, a z kościstej twarzy sterczał mu haczykowaty nos. Ale to nie jego wygląd rodzicowi sen z oczu spędzał. Synalek bowiem w żaden sposób nie garnął się do męskiego rzemiosła. Kiedy starsi bracia na podwórzu drewnianymi mieczami wprawy w walce nabierali, on kwiatki wolał zrywać. Kiedy zaś ci sami do słomianych kukieł z łuków strzelali, ten wolał kukłom owym makijaż nakładać, co by bardziej ludzi przypominały. Przez to zmartwieni rodzice imienia bohaterskiego nadać mu nie mogli i nazwali go

San Pedro (San – z pewnością od Sandomierza pochodziło, a Pedro? Chyba po prostu tak im pasowało, kiedy cherlaka swojego zobaczyli). San Pedro lubił kolorowe szaty, muzykę, a nade wszystko lubił... włosy! Tak! Włosy! On wprost uwielbiał je czesać, układać, farbować, głaskać, kręcić i przycinać.... Słowem – golibroda (choć dziś pewnie stylistą fryzur zostałby nazwany). I może San Pedro nie odziedziczył po przodkach wyglądu i zamiłowania do wojskowego oręża, ale charakter to i owszem. Uparty był on straszliwie i jak się już jakiej myśli uczeplił, to choćby go wołami ciągnąć i tak na swoim postawić musiał. To z kolei spokój domowy nie jeden raz burzyło, bo co jak co, ale układanie fryzur i zrywanie kwiatów tak ojciec jak i bracia mężni raczej niewiastom przypisywać zwykli, niżli rycerskim synom.

Na początku, za karę w piwnicach dzieciaka zamykali, licząc, że ten w ciemnościach podziemnych rozumu nabierze. A rozumu miał biedak gdzie nabierać, bo niemal pod wszystkimi kamienicami wokół rynku mieszkańcy drążyli tunele, którymi nawet na drugą stronę Wisły dotrzeć było można. San Pedro jednakże wszystkie pajęczyny podziemne z nudów uczesał, przy okazji wyjście przy murach za miastem znajdując.

Ojciec także innych forteli się imał, co by jakoś syna najmłodszego do męskiego fachu nakłonić. Na przykład zamknął go on raz w stajni razem z końmi na cały tydzień, myśląc, że konie – waleczne stworzenia, które w niejednej bitwie panu swemu towarzyszyły, natchną cherlaka

bohaterstwem. Kiedy jednak po tygodniu Pan stajnię otworzył, a konie z niej na pastwisko wybiegły, o mały co trupem na miejscu nie padł! Tak ułożonych końskich grzyw i ogonów chyba jeszcze nikt do owego dnia nie widział. A już na największą uwagę ostatni, najstarszy koń zasługiwał. Temu, jako że grzywę z racji wieku najdłuższą posiadał, zrobił San Pedro taką ondulację, że biedak ledwie w drzwiach stajni się zmieścił. A gdy wreszcie na pastwisko wybiegł i w kałuży się przejrzał, naraz ludzkim głosem przemówił, co się przecież pierwszy raz w historii świata zdarzyło. To jednak, co powiedział, w żadnym razie nie nadaje się do zacytowania w bajce...



Za karę ojciec kazał cherlakowi wszystkie krzewy w ogrodzie mieczem powycinać (chcąc syna zamiłowaniem do fechtunku zarazić). Zatem San Pedro krzewy powycinał. A powycinał je w tak fantastyczne wzory i kształty, że kiedy ojciec i bracia jego to zobaczyli, z polowania powróciwszy, zaczęli się zastanawiać, czy grzyby, które w lesie jedli, przypadkiem nie były trujące i czy halucynacji u nich nie powodują...

– Ale ja nie chcę walczyć!!! – krzyczał chłopczyzna, rugany wielokroć przez rodzica i mocarnych braci – **Ja chcę być fryzjerem!!!**

– Przecież możesz ścinać włosy. Tylko rób to razem z głowami – próbował ojciec drobne ustępstwa w swoich nakazach robić. Ale nawet tym nic wskórać nie mógł, bo bestia wyjątkowy upór w sobie miała.



Wreszcie, gdy tradycyjne metody wychowawcze zawiodły, strapieni rodzice wezwali starą znachorkę. Poniektórzy uznawali ją nawet za taką, co to czary zna i niejednego może uzdrowić. Tyle, że czary jej bardzo silne bywały i żeby uzdrowionym zostać, trzeba było krzepę mieć nie lada, której wielu chorym jednakowoż brakowało. Stąd i kuracja w znakomitej większości przypadków skutki śmiertelne przynosiła. Cóż jednak było robić, kiedy San Pedro nijak na męczyznę wyprowadzić się nie dawał.

– Co tu widzisz? – pytała znachorka, wskazując cherlakowi miecz.

– Połowę nożyczek widzę – odpowiedział San Pedro.

– A tutaj? – zapytała, wskazując tym razem tarczę.

– Jejciu! Z tego to bym zrobił tacę do mycia głowy...

– A tutaj? – wskazała wreszcie łuk i strzałę..

– A tutaj to ja widzę, że gdyby tak łucznikom włosy dobrze przczesać, to by im one do oczu nie wpadały, przez co ich strzały częściej celów dochodzić by mogły.



Tu znachorka zamyśliła się, widząc, że beznadziejny przypadek ma przed sobą. Palcem jednak na chłopca kiwnęła i szeptem zapytała:

– A z moimi włosami zrobić byś co umiał?

San Pedrowi aż oczy zapłonęły z zachwytu. – Co tam końska grzywa, co tam żywopłot!! To jest dopiero wyzwanie!! – myślał, patrząc na plątaninę włosów, liści i gałęzi, którą na głowie miała staruszka i nie zwlekając, zabrał się do roboty. Już po chwili zrobił jej: balejaż, pasemka, mokrą włoszkę i sam diabeł wie, co jeszcze. Fakt, że kiedy skończył, staruszka zmieniła się nie do poznania. (Złośliwi twierdzą, że nie tylko nie do Poznania się zmieniła, ale, że do innych miast również nie). Tak czy owak klientka zadowolona była bardzo. Aby więc odwdzińczyć się cherlakowi, postanowiła karty mu postawić i dobrą przyszłość wywróżyć. Z kartami bowiem nie rozstawiała się niemal nigdy. Temu, kto jej kąk do spania bądź jedzenie zaoferował, zawsze wróżyła w podzięce, przez co karty owe służyły jej za karty płatnicze...

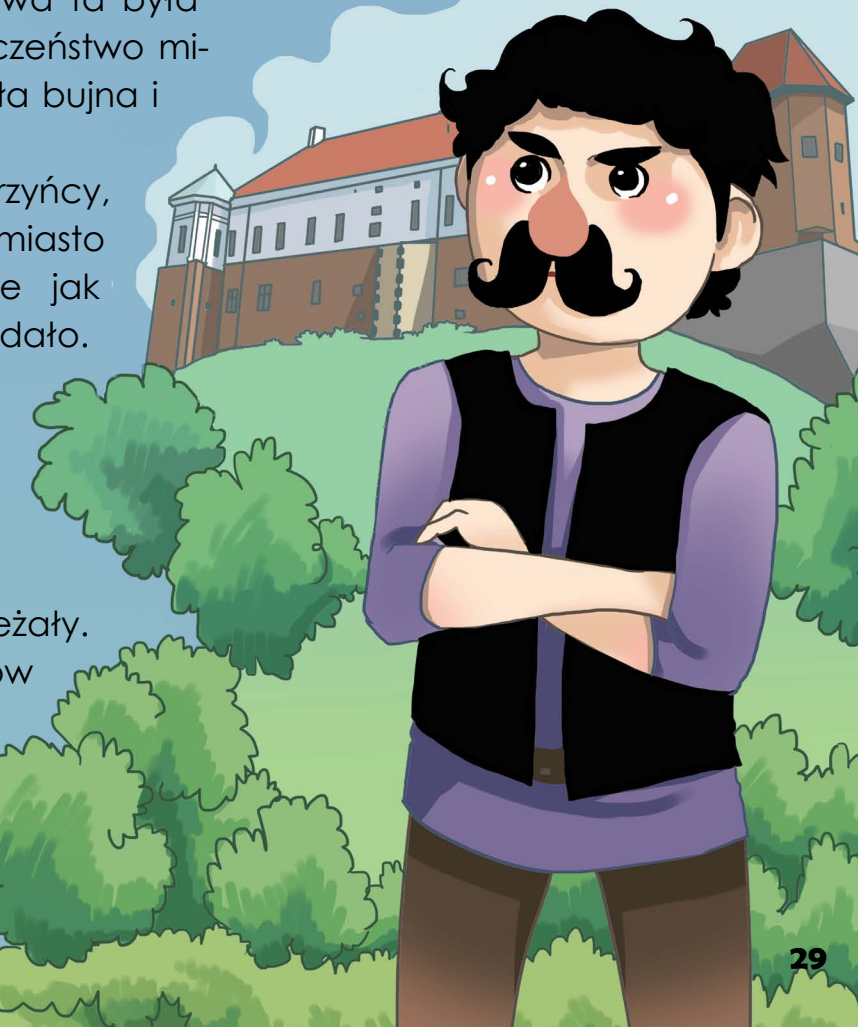
– Wielką przyszłość widzę przed tobą – powiedziała wreszcie – lecz odwagą i podstępem wykazać się będziesz musiał. Wiedz jednak, że gdy wszystko się skończy, marzenie twoje się spełni, a ojciec i bracia jeszcze ci dziękować będą, bo przy twoim boku stawać się okryją. Rób więc to, co lubisz i bądź w tym wytrwały, a choćby wszyscy na przekór tobie stawali – zwycięstwo odniesiesz.



Żył w Sandomierzu niejaki Konrad – bogaty Pan, który córkę miał, co za wielką piękność uchodziła. Tak przynajmniej mówili ci, którzy ją widzieli, a widzieli ją nieliczni, bo córka Konrada zamknięta była w wieży jego wysokiego i na skale zbudowanego domu. Stamtąd wypuszczała ona włosy, które rosły i rosły, i rosły...

Konrad, widząc, że włosy dziewczyny są już tak długie, że nawet średnio wysoki rycerz dosięgnąć ich mógł bez trudu, postanowił córkę za mąż wydać, swoją sprawę przy tym załatwiając. A sprawa ta była taka: Konrad odpowiadał za bezpieczeństwo miasta, które w owych czasach otaczała bujna i nieprzebrana sandomierska puszcza.

W puszczy tej żyli zbóje – barbarzyńcy, którzy co najmniej raz na miesiąc na miasto napadali... Napadać napadali, ale jak dotąd przez mury przedrzeć im się nie udało. Jednakże straty przy tym powodowali niemałe, bo i elewacje murów niszczyli, sprzątać po walce było trzeba, a i leki nasercowe, które w takich razach Konrad przyjmować zawsze musiał, do tanich nie należały. Stąd też panisko zapragnęło zbójów cudzymi siłami wyłapać, a temu, komu by się to udało, rękę swojej córki obiecało.

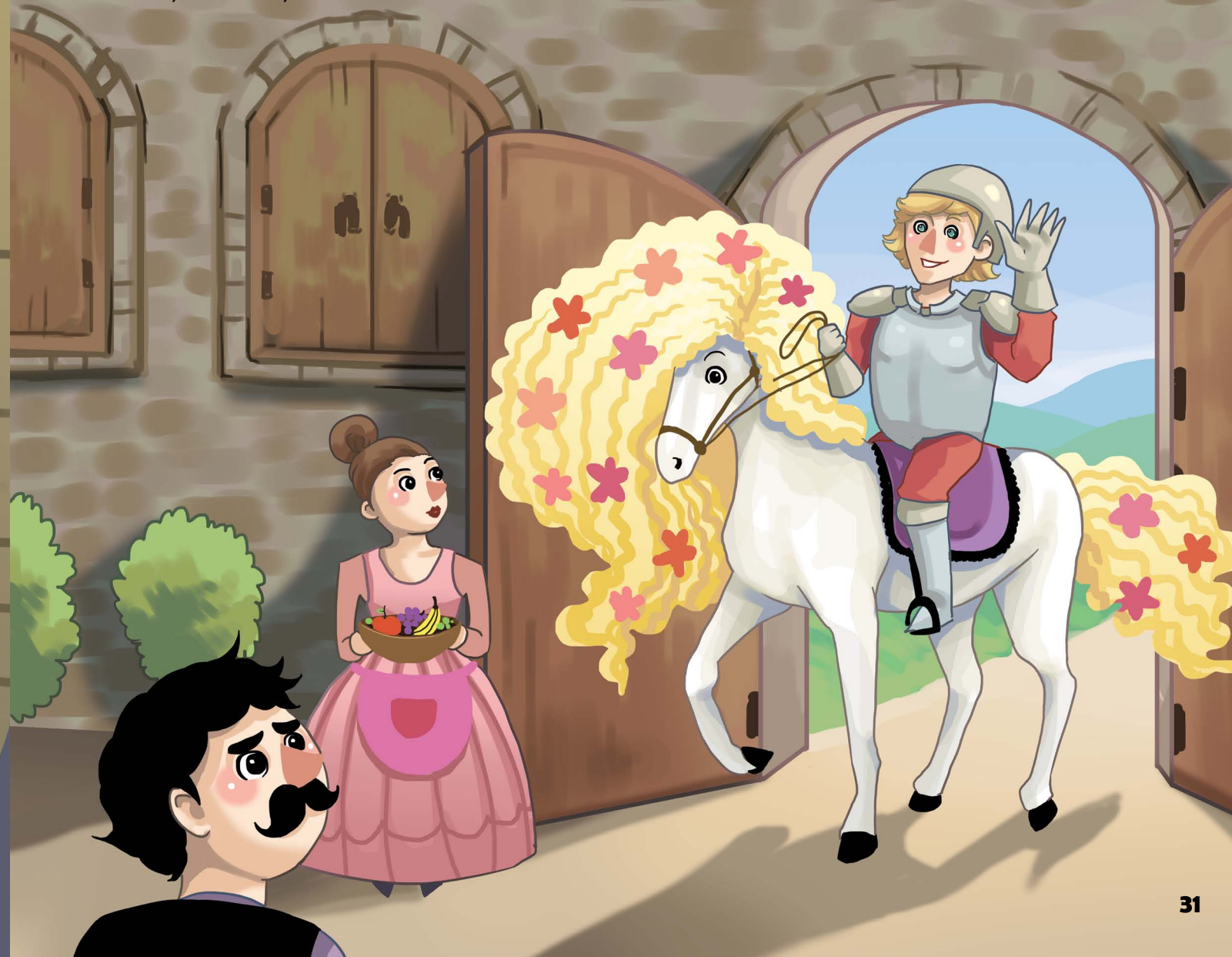


Tyle, że śmiazków i ochotników do tej wyprawy tak znowu wielu się nie znalazło. Może to z powodu strachu przed zbójami, którzy za bardzo okrutnych uchodzili, a może z powodu plotki, że córka Konrada taka znowu piękna nie jest, skoro za włosami twarzyczkę skrywać musi. (Należałoby tu również wspomnieć, że ogłoszeń typu: oddam córkę za zabicie smoka ukazywało się w owym czasie mnóstwo. Młodzi na wojnach zdrowie i życie tracili, a córki w domach rosły podobnie jak koszty ich utrzymania. Stąd niejeden ojciec w akcie desperacji na ogłoszeniach owych drobnym druczkiem dopisywał: nie musi być smok, wystarczy jaszczurka albo żaba).

Wprawdzie San Pedro wielkiego zainteresowania płcią piękną nigdy nie wykazywał, jednakże możliwość codziennego czesania włosów córki Konrada pociągała go tak bardzo, że na anons przyszłego teścia odpowiedział i na ochotnika się zgłosił. Wjechał więcw Konradowe progi, siedząc na elegancko poczesanym koniu i dzwoniąc żebrami w zbyt dużą (od brata zresztą pożyczoną) zbroję – niczym serce dzwonu w dzwon.



Widząc to, Konrad zawahał się, czy powinien zezwolić temuż „szaleńcowi” na misję tak przecież niebezpieczną. Przemyślawszy jednak wszystko, stwierdził, że nawet jeśli ten w walce zbójów nie pokona, to ze śmiechu wszyscy padną, gdy tylko takiego dziwaka zobaczą. Ponadto San Pedro był jedynym ochotnikiem, a dziewczęce z wieży włosy rosły już bardzo, bardzo, ale to bardzo długo, przez co i zastanawiać się nad czym nie było.



Mając w pamięci wróżbę znachorki, a także radę jaką od niej otrzymał, San Pedro obmyślił sposób, w jaki zbójów pokonać może. Kiedy bracia śmiali się z niego i martwili zarazem, on z właściwym sobie uporem siłaczy uprosić zdołał, aby na rynku przy ratuszu dzień i noc stali, póki zbójcy w ich ręce nie wpadną. Sam natomiast starannie włosy uczesał (jakże przecież inaczej na wyprawę śmiertelną się udać) i piechotą do puszczy wyruszył. A kiedy las zaczął gęstnieć, żalonym głosem zawołał:

– Ratunku, jest tu ktoś?!

Pomóżcie
zgubionemu!

Wtem zbójcecy

zwiadowcy z ukrycia wyskoczyli, pojмали go i do herszta swojej bandy powieźli.

– Ktoś ty?! – zapytał groźnie herszt, a zarośnięty był on tak mocno, że kiedy mówił, ust mu widać nie było.

– O panie – odrzekł San Pedro – Jak dobrze, żeście mnie pojмали. Jestem fryzjerem, znaczy golibrodą. Znacie kościół świętego Jakuba?

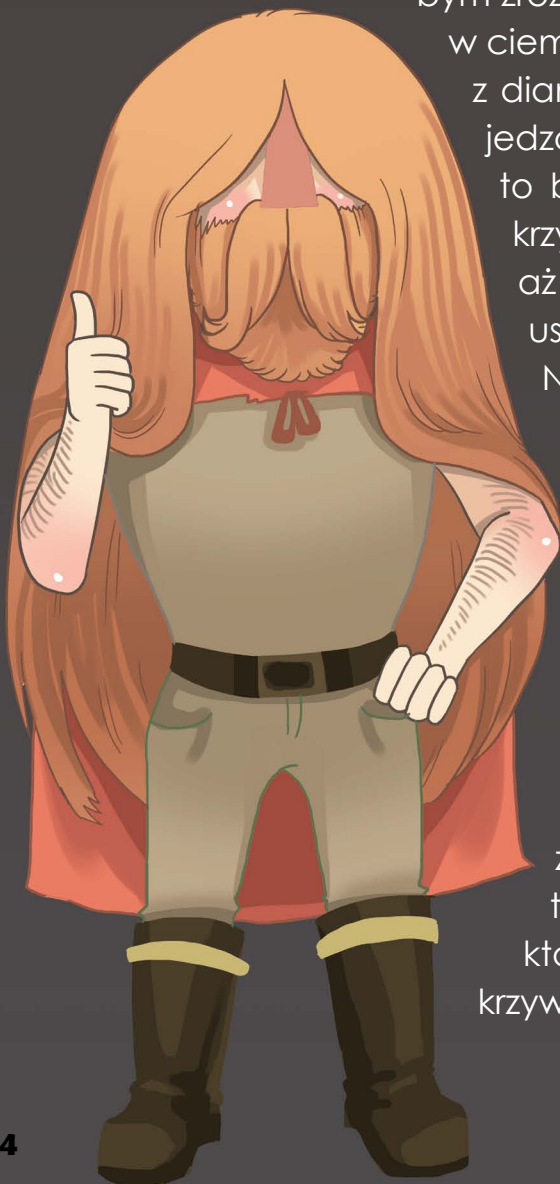
– Znam! To ten przy którym Święty Jacek lipy korzeniami w górę sadił...



– Tak jest. Pewnie wiesz Panie, że mnisi tam mieszkają, którzy łyse kółka na głowach nosić lubią. Jednakże, skoro kółka te zaczęły im mocno zarastać, wezwali mnie biedaka na pomoc, sowitą zapłatę obiecując. Tyle, że kiedym ostatniego mnicha ogolił, wygnali mnie na cztery wiatry, kopniaka jeszcze na drogę dając. No żeby tam bieda była Panie, to jeszcze bym zrozumiał, ale nie! Od bogactw w ich piwnicach szczury w ciemnych okularach chodzą. Braciszkanie na różańcach z diamentów się modlą i na złotych miskach ruski kawior jedzą. Ach, żebym ja tak właściwych kompanów spotkał, to bym się na mnichach i na całym mieście za moja krzywdę zemścił... Tu rozplakał się teatralnie, a zbójcy aż przyklasnęli w dłonie, o bogactwach zakonników usłyszawszy.

Nagle herszt bandy warknął – Oj głupcze, toż nie wiesz, że do miasta nie ma się jak dostać?! My od lat – miesiąc w miesiąc – guzy leczymy i jeszcze się nam nie udało.

– Nie udało się wam Panie, bo jak małpy zarośnięci chodziecie – odparł podstępnie San Pedro – A musicie wiedzieć o tym, że Święty Jacek, ten z klasztoru, dzień w dzień na srebrnym dywanie klęczy i do Boga się modli, by Sandomierz od zwierza dzikiego uchował. Bóg widocznie ze zwierzem was myli i dlatego miasta zdobyć nie możecie. Ale jakbyście się tak ostrzyc dali, to kto wie... A znam ja **podziemne przejście**, które na sam rynek miasta wiedzie. Jak się zgodzicie krzywdę moją pomścić – zaprowadzę was i tyle.



Zbójcom aż oczy zapłonęły z radości. To naradzać się, to sprzeczać ze sobą poczęli, aż wreszcie herszt bandy towarzystwo uciszył, koszulę brudną zrzucił i do San Pedro powiedział:

– Gól, golibrodo! A jeśliś nas okłamał, obyś kudłatą babę za żonę dostał, obyś do końca życia brody golił, obyś koniom warkocze plół...

San Pedro udawał, że go te przekleństwa strasznie przeraziły. Wziął się zaraz do roboty i głowy zbójców jedna po drugiej do łysa wygolił, zostawiając jednak na każdej z nich długi kosmyk, na wzór tatarskiego hana.

– A na co te kozie ogonki zostawiasz? – dopytywali zbójcy.

– A zostawiłem tak na wszelki wypadek. Żeby nie tylko nasz, ale i tatarski bóg za wami się wstawił. Skoro na **Tatarów** wyglądacie, pomyśli żeście jego – jakże inaczej?

Ostrzyżeni zbójcy zebrali się jeden za drugim i ruszyli w kierunku miasta. Gdy stanęli pod murami, San Pedro odszukał ukryte wśród skał drzwi do podziemnych piwnic i zapaliwszy pochodnię, wprowadził doń swoich „kompanów”. Zbójcy szli – jeden za drugim, bo przejście było tak wąskie, że dwie osoby koło siebie żadną miarą zmieścić się w nim nie mogły.



Owe **lochy** znał San Pedro dobrze (nie raz w końcu za karę pajęczyny w nich fryzował), więc specjalnie dłuższą drogą zbójców prowadził, coby do walki siły wszelkie stracili.

– Jesteśmy – powiedział wreszcie, widząc, że zbójcy z trudem już w korytarzu nogę za nogą wloką. Tu uderzył ręką w drewnianą klapę nad głową i jako pierwszy wyskoczył na powierzchnię, a za nim z trudem zaczęli gramolić się zbójcy. Na ten widok, czekający zgodnie z umową bracia, ruszyli czym prędzej do roboty: jeden łapał zbójców, drugi gęby im zatykał, a dwóch kolejnych, tymi kosmykami długimi w pęczki ich wiązało, jak cebulę. Kiedy wreszcie wszystkich zbójców bracia wyłapali, wsadzili ich na tratwę i spuścili Wisłą do morza, polecając, coby nie bliżej niż na bezludnej wyspie lądowali.



Takiego weseliska, jakie Konrad dla córki i San Pedro wyprawił, świat dotąd nie widział. Ściągnęli na nie goście z całej Rzeczypospolitej, a każdy obowiązkowo fryzurę musiał mieć niezwykłą. I nawet ojciec San Pedro na tę okoliczność pierwszy raz w życiu włosy swoje przeczesał. Prawdę jednak powiedziawszy fatygi przy tym za wiele nie miał, bo hełm stalowy przez lata z głowy niezdejmowany swoje zrobił.

Ciekawiście pewnie także, jaką się w końcu okazała być szanowna małżonka naszego bohatera? Kiedy tylko pan młody włosy żonie rozczesał, okazała się ona być tak piękna... Tak piękna... Że San Pedro w trasę po kraju wyruszył, by za połowy królestw (bo przecież nie za ożenek), ludzi z tarapatów ratować. Do domu przy tym prawie wcale nie wracał, przez co i marzenie ojca przy okazji spełnił, choć w tym jednym się do niego upodabniając.





Jak widzicie, moi drodzy słuchacze i czytelnicy, warto zawsze za marzeniami pędzić, nawet jeśli inni dostępu do nich nam bronią. Gdy cel macie dobry, podążajcie za nim uparcie. Któż to wie, co więcej korzyści bliźnim przynieść może. A jeśli celu swojego pewni nie jesteście, to może powinniście do **Sandomierza** przyjechać i w podziemnych piwnicach swój pomysł prześledzić. Prawie 500 metrów podziemnej trasy turystycznej (z połączonych piwnic i lochów powstałej), czeka na zwiedzających. Podobnie zresztą jak inne zabytki: piękny rynek, kościoły – w tym ów kościół Świętego Jakuba odwróconymi lipami obsadzony.

Dzwońcie więc do punktu informacji turystycznej. Tam sprawdzicie, gdzie można się przespać, gdzie dobrze zjeść i co jeszcze ciekawego w owym Królewskim Mieście zobaczyć. Wiele ciekawych i przydatnych informacji znajdziecie także na stronie internetowej Regionalnej Organizacji Turystycznej województwa świętokrzyskiego.

Zapraszamy!



OPOWIĘŚĆ
O ZBĘDNYM RYCERZU



Było to oczywiście dawno, dawno temu. Trudno bowiem opowiadać bajki o czasach, które ktoś z żyjących pamięta; zawsze przecież znajdzie się życzliwy, który stwierdzi, że wcale nie było tak, jak mówię, a ja pieniędzy na sprostowania w gazetach nie mam!

Tak więc dawno, dawno temu, tak dawno, że na szczęście nikt już dzisiaj o tym nie pamięta, żył w Rzeczypospolitej rycerz. Nie był on oczywiście jedynym rycerzem w Rzeczypospolitej, ale jako że miał syna, właśnie o nim będziemy mówić.

– Tak, wiem! Rycerzy, co to mieli synów, też kilku by się znalazło. Mówię o nim jednak dlatego, że chcę jakoś zacząć opowieść o tymże potomku, którego losy wydają się być bardzo ciekawe... Nie no, ja wiem, że nie dla każdego! Rany, co za ludzie...

Zaczynamy."

Rycerz, o którym mowa, nie przepuścił chyba żadnej bitwy, przypadającej na czas jego żywota. Robotę ową lubił niezmiernie, bo miał wysoki poziom testosteronu, co w tej rodzinie było czymś tak normalnym, że nawet jego matka wąsy sumiaste nosiła; a że mecze piłkarskie w owym czasie należały do rzadkości, gdzieś przecież nadmiar energii musiał wyładować.

Rycerz nasz, oprócz syna, o którym wreszcie za chwilę zacznę opowiadać, miał również żonę. Miał ją jednak bardzo niedługo, bo zaraz po tym, jak bidula wydała na świat dzieciątko, udała się na wieczny spoczynek.

Oj, ciężkie czasy nadeszły dla wojownika! Sam bowiem został z synkiem małym na piersi i obowiązkami, które dotąd znał tylko z opowieści! Jakże trudno było mu się pogodzić z rolą niańki. Bo to i przewijać musiał (o czym nie raz w odniesieniu do własnej osoby zapominał) i kąpać dziecko codziennie



(co również nie współgrało z jego zwyczajami). Wreszcie, kiedy po wizycie położnej dowiedział się, że niemowlę pieczystego jeść nie powinno i że mimo pogroźek, samo na koniu nie usiedzi, przekazał malucha pod opiekę swojej krewnej. Obiecywał przy tym, że raz na jakiś czas do potomka zaglądnie, a jej odwdzięczy się sowicie za okazaną łaskę. Ale niestety, jak wyruszył, tak słuch o nim zaginął. Biedna opiekunka, mówiąc delikatnie, w luksusach się nie pławiła i wkrótce sama zmuszona była oddać sierotkę na służbę do pobliskiego pałacu.

Pałac słynął na cały kraj nie tylko z ogromu i piękna, ale także z panującej w nim czystości. Codziennie trzepano tam wszystkie dywany, co tydzień myto okna, a co dwa tygodnie malowano ściany na inny kolor. A wyobraźcie sobie, że dywanów było tam tyle, ile pokoi. A pokoi było tyle, ile tygodni mieści się w roku. Samych okien zaś było tyle, ile rok ma dni... Stąd i ludzi do całej tej roboty potrzebowano w pałacu sporo. Chłopca chętnie więc na wychowanie przyjęto, pomimo że był jeszcze niemowlakiem i do pracy póki co się nie nadawał. Biedaczek fikał tylko nóżkami i płakał. A właściwie to meczał jak mały koziołek. Stąd też nadano mu imię –

MEK.

Kiedy jednak Mek podrośł, natychmiast obarczono go obowiązkami. Na początek kazano mu pucować końskie żłoby. A wierście, że było co pucować, bo w podziemnych stajniach mieszkało trzysta koni. Żłoby były tam marmurowe, a żeby konie wielmożnych państwa widziały, jaki obiad dostają, na suficie i na ścianach wisały kryształowe lustra kierujące do środka słoneczne promienie. I może dla koni był to luksus, ale dla Meka już niekoniecznie, bo przez to świecące ustrojstwo na żłobach widać było najmniej nawet okruszek.



Mimo to Mek rósł sobie zdrowo, podobnie zresztą jak lista jego zadań. Szybko więc zaczął myć wspomniane okna, trzepać dywany, wycinać chwasty, rąbać drewno i tak dalej i tak dalej. A wszystkie te prace wykonywał starannie i z ochotą. Aż do pewnego momentu...

Kiedy wreszcie 13 lat chłopcu minęło, zaczął się on jakoś dziwnie zachowywać. Wymigiwał się od każdego polecenia, pracować mu się nie chciało, a co w ręce wziął, to popsuł – jak nie kij od szczotki, to wiadro, to wreszcie siekierę. (Stąd też pewnie pochodzi owo przekonanie, że 13 to liczba pechowa.) Niemal z dnia na dzień przybywało mu siły i temperamentu, a ubywało ochoty do biegania z miotłą i ściereczką. Wreszcie pewnego dnia uświadomił sobie, że tak naprawdę to marzy, by stać się rycerzem. Myśl ta wpadła mu do głowy, kiedy któregoś ranka dowiedział się o pewnym zdarzeniu. Żeby jednak zbudować jakiegokolwiek napięcie, wróćę do tego za chwilę. A teraz, bardzo proszę, opowiadam o pałacu...

Pałac należał do wielkiego pana i bogacza –

Krzysztofa Ossolińskiego.

Dostępu do zabudowań broniły potężne wały w kształcie pięciokąta, obmurowane solidnie kamieniami i otoczone głęboką fosą. Pałac górował nad tym wszystkim, zdając się być twierdzą nie do zdobycia.



Jednakże do uszu wielmożnego Pana coraz częściej docierały pogłoski, że jego nieprzyjaciele zwierają szyki, by zaatakować i zburzyć tenże dowód jego świetności.



Stąd na wszelki wypadek Pan postanowił u siebie szkołę dla rycerzy otworzyć, aby w razie czego miał kto stanąć do walki w obronie **Krzyżtoporu**. (Tak brzmi prawdziwa nazwa pałacu, która wzięta się zapewne od krzyża i topora wyrzeźbionych nad główną bramą.)

To właśnie powstanie owej szkoły rozbudziło w Meku marzenia o rycerskim stanie. Ale hola, hola! Rycerzem nie zostawało się przecież ot tak! Od kandydata wymagano rycerskiego rodowodu, sporego majątku i wielu, wielu lat przygotowań. Pretendent już w wieku siedmiu lat mianowany był paziem, w wieku lat dwunastu – giermkim, aż wreszcie, kiedy sprawdził się w boju, pasowano go na rycerza.

Mek z kolei własnego rodowodu nie znał i majątku też nie miał zbyt okazałego, bo brudna koszula i lniane portki nawet wtedy nie przedstawiały wielkiej wartości.

No i czas, w którym powinien być stać się paziem, a potem giermkim – minął bezpowrotnie. Wszystko to sprawiało, że szanse na spełnienie marzeń miał raczej niewielkie. On jednak za żadne skarby myśli tej do siebie nie dopuszczał, bo uparty był jak osioł, którego dosiadał.



Któregoś razu Mek wybrał się do Pana Ossolińskiego i nie bacząc na przeszkody, poprosił o przyjęcie do szkoły. Panu żal się chłopaka zrobiło, więc nie przegnał go na cztery wiatry, jak zwykle czynił w takich przypadkach, lecz powiedział żartobliwym tonem, że wszystkie miejsca w szkole zostały zajęte. I nawet gdyby go teraz przyjął, to stałby się on potem dodatkowym, zupełnie zbędnym rycerzem. A on – właściciel pałacu – rycerzy więcej nie potrzebuje, tylko uczciwie pracującej służby!

– Nie, to nie – pomyślał Mek po powrocie do swojej izdebki. – Jeszcze zobaczycie, kto tu jest zbędnym rycerzem, a kto nie! Całą następną noc chłopiec spędził na rozmyślaniu, co tu zrobić, aby zdobyć wymarzony zawód. I wreszcie wymyślił, że skoro oficjalnie do szkoły nie może się dostać, to będzie brał udział w lekcjach incognito...

Przyszli rycerze uczyli się aż siedmiu przedmiotów, wśród których znalazły się jazda na koniu, strzelanie z łuku, gra w szachy i władanie szabelką. Ponadto musieli ćwiczyć umiejętność polowania, pływania oraz to, co Meka napawało

największą trwogą – **poezję miłosną.**



Ciekawi jesteście pewnie, jakim to sposobem Mek dostawał się na owe rycerskie lekcje? Otóż wymyślił on sobie na przykład, że kiedy giermkowie będą trenować jazdę konną, on w tym dniu będzie sprzątał stajnie. Wszystko zaś, co uda mu się przy tym podpatrzeć, będzie trenował wieczorami na swoim osiołku.

Pomysł ten sprawdzał mu się całkiem nieźle, chociaż osiołek miał już w pewnym momencie tak dosyć biegania truchtem, że kiedy tylko widział Meka w drzwiach obórki, dostawał gorączki.

Kiedy giermkowie ćwiczyli w ogrodzie walkę na szable, Mek uzbrojony w sierp zawsze walczył obok nich z chwastami; kiedy ćwiczyli strzelanie z łuków – zawsze mył okna od strony zamkowego dziedzińca; mycie okien od strony lasu zostawiał sobie z kolei na dni, w których kandydaci na rycerzy zgłębiali sztukę polowania. A wszystko to, co podpatrzył, ćwiczył wieczorami tak zawzięcie, że następnego dnia nie miał siły, by ścierkę w dłoni utrzymać.



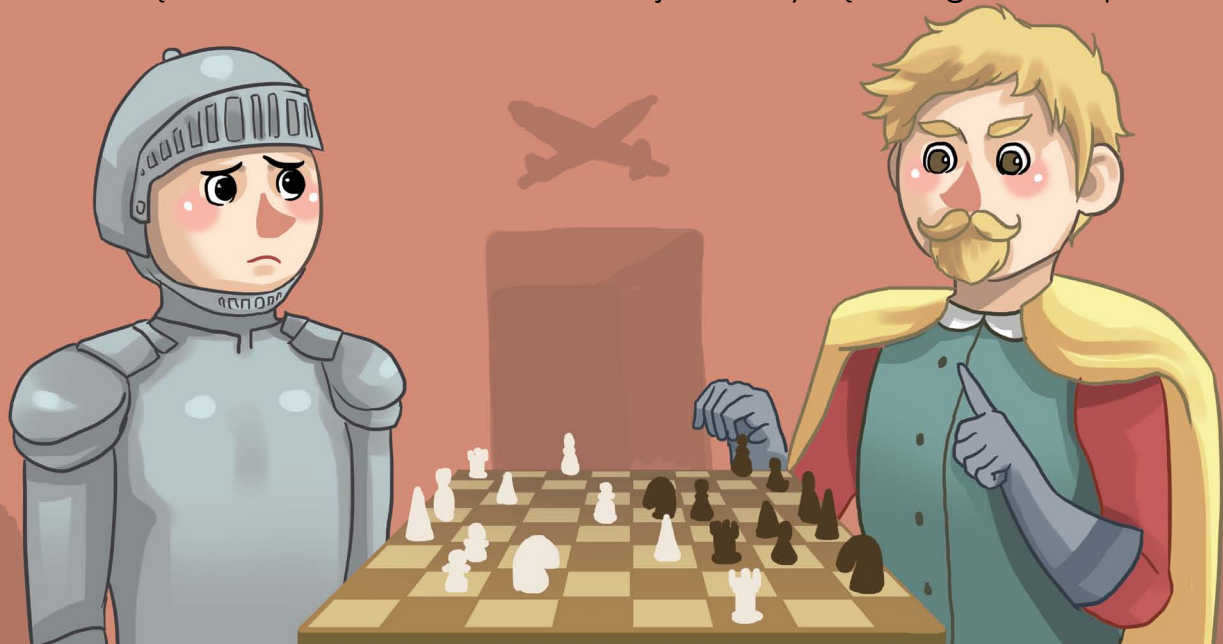


Trudniej było z grą w szachy. Tej bowiem uczył giermków sam Pan Ossoliński w najpiękniejszej sali pałacu, która znajdowała się w jego południowej wieży. Ale i na to Mek znalazł sposób. W sali tej nie było zwykłego sufitu, lecz...

AKWARIUM!

Tak, akwarium, z kolorowymi rybkami! I nie muszę chyba mówić, w które dni Mek zabierał się za jego czyszczenie. Dzięki temu nie tylko świetnie widział wszystkie rozgrywane w dole partie, ale i pływanie przy okazji mógł poćwiczyć.

I tylko ta poezja miłosna szła mu jak po grudzie. Nawet jeśli już jakiś wierszyk udało mu się z trudem sklecić, konie w stajni śmiały się z niego do rozpuku.



Wieczorami Mek domowym sposobem szykował dla siebie zbroję. Z zepsutego wiadra zrobił sobie hełm, z połamanych łopat naramienniki, a z siatki ogrodzeniowej, co to ją „niechcący” sierpem przeciął – kolczugę na piersi. Rękawice rycerskie poskładał z puszek po konserwach i tylko szabli nie miał biedak jak zdobyć. Zamiast tego, póki co oczywiście, sierp do paska sobie przypinał i czekał...

Czas mijał, giermkowie się uczyli, a Mek... Cóż, Mek sprawiał wrażenie, jakby nie mógł się doczekać, kiedy wypróbuje swoją zbroję w walce. I gdyby wróg zwlekał jeszcze dłużej, to kto wie, czy on sam nie wywołałby jakiegoś buntu. Na szczęście nie musiał tego robić...

Pewnej księżycowej nocy potężne – Hurra! – pobudziło drzemiących na wieżach strażników. Niezliczone hordy obcych wojsk: i konnicy, i piechoty wypadły na pałacowe przedpole. Na wielkich kołach wojowie toczyli ogromne działa, na ramionach nieśli drabiny, a ich konie ciągnęły wozy pełne armatnich kul... Pan Ossoliński rozkazał, aby natychmiast wszystkie kobiety i dzieci z pałacowych zabudowań wprowadzić do tunelu, który znajdował się pod pałacem. Nie był to jednak zwyczajny tunel. Ciągnął się on bowiem przez kilkanaście kilometrów, a całutki wysypany był...cukrem! U jego wejścia zawsze czekały zaprzężone sanie, którymi w razie draki można było uciec aż do **OSSOLINA**.



Gdy kobiety i dzieci były już bezpieczne, pan rozkazał, by tą samą drogą pałac opuściła cała służba. Rozkaz dotyczył również naszego Meka, który jeszcze przed odjazdem błagał pana o zgodę na udział w walce. Ten stwierdził jednak, że ma przy boku tylu walecznych giermków i rycerzy, że świetnie sami sobie poradzą. Mek zaś byłby tu po prostu zbędny... Zbędny i tyle.

Możecie sobie wyobrazić, co on biedny wtedy poczuł! On, któremu walka pachniała, jak najpiękniejsza róża. Kiedy już był w tunelu, usłyszał nagle tętent koni, huk armat i zmagania stojących do pojedynku rycerzy. Nie wytrzymał! Wyskoczył z sań, wrócił do pałacu, przywdział czekającą nań zbroję domowej roboty i ruszył...

Wszystko wokół zasnuł dym. Wróg był coraz bliżej. Giermkowie trzęśli się ze strachu, a dowódca już, już miał zamiar wydać rozkaz do ucieczki, gdy nagle...

Mek wskoczył na mur, chwycił przypięty do paska sierp i ryknął – Do ataku!!!

A ryk ten był tak potężny, że szyby w trzystu pięćdziesięciu sześciu oknach popękały (z czego pałacowy szklarz wyjątkowo się ucieszył).



Słyszący to młodzi rycerze zebrali się w sobie i ruszając za Mekiem jak za przywódcą, wypadli przed pałac. Kurz, dym i popiół zasnuły pole walki tak mocno, że rycerze prawie nic nie widzieli. A najmniej chyba widział Mek, któremu wiadro spadło na oczy, przez co lał po omacku wszystkich bez wyjątku, w tym osobistych doradców samego Pana Ossolińskiego, co mu się wkrótce odbiło czkawką. Ale o tym później, bo na polu walki rozochoceni obrońcy pałacu tłuśli atakujących bez litości. Każdy, kto jakkolwiek opór ośmielił się stawiać, takie kiksańce dostawał, że żadna wywiadówka czegoś podobnego nie pamięta. Atakujący widząc wreszcie, że szala zwycięstwa przechyla się na ich niekorzyść, zaczęli słabnąć, kurczyć się, cofać, aż wreszcie odtrąbili odwrót i uciekli gdzie pieprz rośnie.

– Zwycięstwo! Zwycięstwo! – zawołali naraz rycerze tak głośno i tak radośnie, że słońce się obudziło, kurz opadł i nastał piękny, gorący poranek.



Kiedy już wszystkie rany opatrzone, wszystkie straty policzono i posprzątno bałagan, Pan wezwał do siebie najbardziej walecznych rycerzy, by jakoś nagrodzić ich męstwo i poświęcenie. A jako pierwszego, najwaleczniejszego ze wszystkich, zaprosił Meka, który od końca bitwy wiadra z głowy nie zdejmował.

– Podnieś przyłbicę bohaterze – powiedział Pan Ossoliński – niech ujrzę mojego wybawcę!

– Kiedy nie mogę, Panie – odparł tajemniczo Mek.

– Podnieś! Obiecuję, że każde życzenie twoje spełnię, a nawet jeśliś dotąd był moim wrogiem, od dziś będziesz przyjacielem.

– Każde? – zapytał Mek blaszonym tonem.

– Każde – potwierdził Ossoliński.

– Kiedy nie mogę Panie, bo mi ktoś kuksańca w nos wczoraj sprzedał, przez co wiadro... to znaczy hełm mi na głowie utknął.

– Toż to nasz zbędny rycerz! Ten, co to na siłę chciał rycerski fach zdobyć! – odezwali się ci, którzy poznali głos sieroty.

– Tyś to, Meku? – upewnił się Pan Ossoliński.

– Jam jest! – odparł Mek, a wszyscy wokół zaczęli się śmiać i klaskać, trochę z radości a trochę z zazdrości, że się zwykłemu pachotkowi taki zaszczyt przytrafił. A zaszczyt ten był ogromny, bo jeszcze tego samego wieczora Pan urządził na zamku wspaniałą ucztę, podczas której nie tylko spełnił obiecanę życzenie Meka i pasował go na rycerza, ale i obiecał, że sprawi mu nową zbroję.



Ten jednak nie za bardzo chciał na tę zmianę przystać i jedyne na co się zgodził, to wywiercenie otworów na oczy w owym wiadrze, czyli hełmie, przy czym bardzo obstawali doradcy Pana Ossolińskiego. Ci sami zresztą nie mieli zamiaru puścić w zapomnienie owych razów otrzymanych od Meka w bitwie i zemścili się w dosyć wyszukany sposób. Kiedy pasowano naszego bohatera na rycerza, namówili oni Pana Ossolińskiego, by nadał Mekowi jakieś bardziej rycerskie imię. Na przykład Prze-mek,

czyli **PRZEMEK**.

Jak mówili:

– jest bowiem słowo „prze-mowa”, czyli wielka mowa, jest „prze-zwyciężenie”, czyli zwycięstwo nad wielkimi kłopotami. Nawet miasto jest o nazwie „Prze-myśl”, czyli przednia, wspaniała myśl...

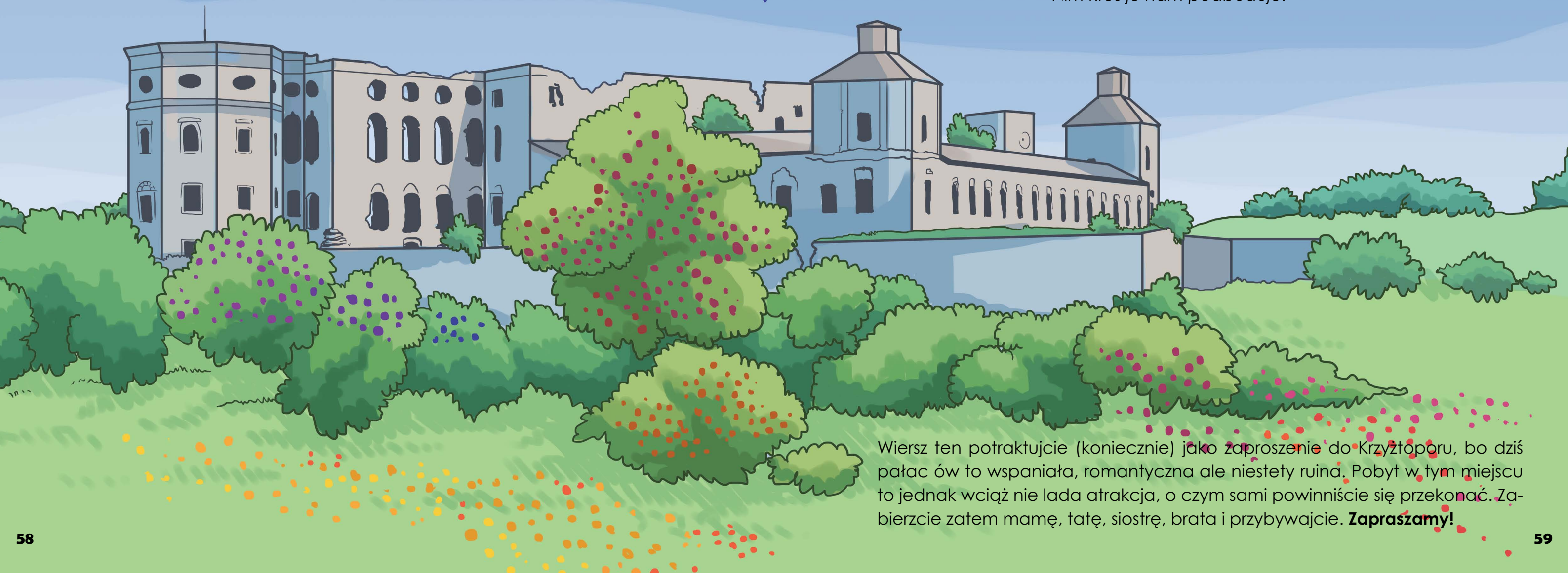
Ani Mek ani Pan Ossoliński podstępnie nie zwietrzyli, a że pomysł bardzo im się spodobał, wpisano naszego bohatera do rejestru rycerzy pod imieniem Przemek. W rzeczywistości jednak doradcy wcale nie myśleli ani o Przemyśle, ani o przemowie, ani nawet o przewyciężaniu, ale o przekupce!!! I na tym właśnie ich zemsta polegała.



Jak widzicie drodzy słuchacze i czytelnicy, jeśli czegoś bardzo pragniecie, to choćby wszystko stawało okoniem, uda wam się to osiągnąć. Nieważne, czy chodzi o naukę tabliczki mnożenia, angielskiego czy choćby ładnego zachowania przy stole. Najważniejsze to mieć cel i mocno wierzyć w jego powodzenie. A kiedy dodacie do tego odrobinę ciężkiej pracy i uważnie podpatrzycie tych, co umieją od was lepiej – dziadków, rodziców, nauczycieli – sukces macie murowany.

Nawet nasz bohater Przemek nauczył się z czasem tworzyć ową poezję miłosną, od której dostawał wcześniej wysypki. A oto dowód:

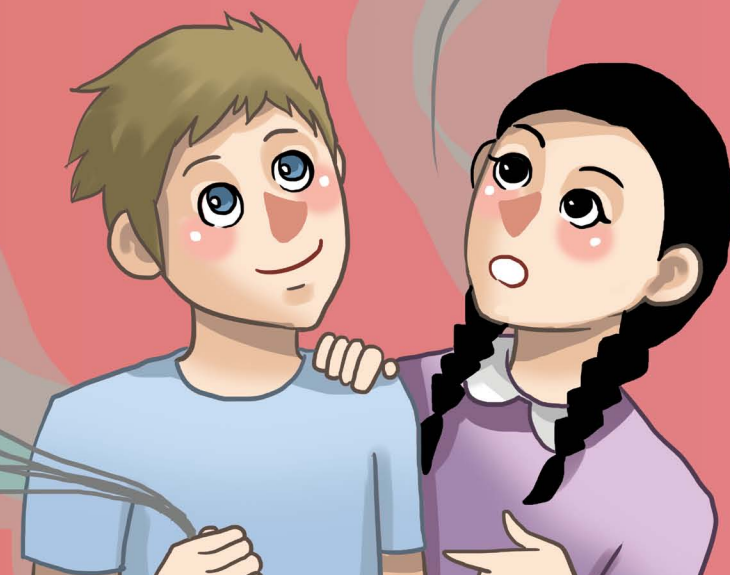
*Wbrew słowom brzydkiej dziewczyny:
„Bo wszystkie chłopy są szuje”,
Spieszmy się kochać ruiny,
Nim ktoś je nam podbuduje!*



Wiersz ten potraktujcie (koniecznie) jako zaproszenie do Krzyżtoporu, bo dziś pałac ów to wspaniała, romantyczna ale niestety ruina. Pobyt w tym miejscu to jednak wciąż nie lada atrakcja, o czym sami powinniście się przekonać. Zabierzcie zatem mamę, tatę, siostrę, brata i przybywajcie. **Zapraszamy!**



PAZURY
MYŁA,





„Drodzy czytelnicy, nasza gazeta dotarła do szokujących informacji!!! W Kielcach znów pojawiły się **czarownice!** Niech Was jednak nie zwiedzie wyobrażenie o ich wyglądzie. Dziś nie są to już bowiem rozczochrane kobiety o jednym zębie. Nowoczesne czarownice noszą kolorowe ubrania, modne fryzury i efektowny makijaż, a ich dłonie zdobią krwistoczerwone paznokcie. Nie latają już one na miotłach jak kiedyś, lecz samolotami, a na ich ataki narażeni są szczególnie młodzi kawalerowie[...]"

– tyle Łukaszek zdążył przeczytać w gazecie taty. Artykułu nie mógł dokończyć, bo było już późno i musiał iść spać. Zanim jednak wyszedł z pokoju, zapytał jeszcze:

– Tato, a w gazetach zawsze piszą prawdę?

– Oj, zawsze, zawsze... – uśmiechnął się ojciec i dodał: – No, kawaler! Do łóżka! Jutro koniec roku szkolnego, a ty będziesz wyglądał jak ostatnie nieszczęście.

– Kawaler? – zastanowił się chłopiec – skoro „kawaler” to znaczy, że ja też jestem narażony na atak czarownic! W tym momencie jego szczeka przestała być grzeczna i zaszczekała ze strachu jak grzechotka do flamenco.

Wiadomość o pojawieniu się czarownic dręczyła Łukasza całą noc. Nie mógł się doczekać, aż opowie o tym Kalinie – swojej małej kuzynce, z którą chodził zresztą do tej samej szkoły. Z nią także Łukasz miał spędzić nadchodzące wakacje. Gdyby jednak wakacje miał spędzić tylko z Kalinką – wszystko byłoby super, ale niestety, rodzice naszych bohaterów wymyślili, że na całe lato zamienią się mieszkaniami z ciotką Anicetą, która na co dzień mieszka w Ameryce. Tym sposobem oni spędzą miło czas za granicą, a ciocia zaopiekuje się dziećmi tu, na miejscu. Należałoby jednak dodać, że ani Łukasz, ani Kalinka jak dotąd ciotki Anicety nie widzieli na oczy.

I nadszedł ten dzień. Na lotnisku, na które dzieci przyjechały, by pożegnać rodziców i powitać zarazem ciotkę Anicetę, panował niesamowity zgiełk. Terminal pasażerski pękał w szwach.



Nagle w tłumie ludzi, którzy dopiero co wysiedli z samolotu, coś jakby zaświeciło... Była to pewna pani z wielkimi kręconymi i rudymi jak wiewiórka lokami. Miała na sobie zielony, aksamitny płaszcz, a w dłoni z długimi, czerwonymi paznokciami trzymała walizkę.

– To ona! – pisnął cichutko przerażony Łukasz.

– Faktycznie, to nasza ciotka! – Hej, hej! Ciociu, tu jesteśmy! – wykrzyknęła mama, machając rękoma.

Łukasz zaniemówił. W owej postaci wcale przecież nie rozpoznał ciotki. Jak miałby to zrobić, skoro nigdy wcześniej jej nie widział.

On rozpoznał w niej –

CZAROWNICĘ!!!

Ach, uściski! Ach, całusy! Wreszcie podekscytowani rodzice wymienili się z ciotką kluczami do domów, wyściskali swoje pociechy i wsiedli do samolotu, który już po chwili odleciał do USA.

– Okej! – odezwała się ciotka – Rozpoczynamy naszą przygodę!

Tu wskazała palcem walizkę, mówiąc:

– Pomóż mi, kawalerze!

– Eeee! Co tam ze mnie za kawaler... – zaprotestował chłopiec, czując, że ciotka najwyraźniej bierze go na muszkę.

Gdy dotarli na miejsce, ciotka niemal natychmiast zamknęła się w sypialni rodziców, by odpocząć po podróży. Kalinkę i Łukasza przejął strach. Tym bardziej, że nagle z pokoju dobiegł ich odgłos uruchamiania pily motorowej!!!

– AAAA! – wrzasnął Łukasz, ale natychmiast zakrył usta ręką. Kalinka po cichutku uchyliła drzwi do sypialni i... Uff... To nie była piła motorowa, tylko ciocia i jej chrapanie.

– Łukasz, czy ty jesteś pewien, że ona jest **czarownicą**? – upewniała się Kalina.

– Nie mam co do tego żadnych wątpliwości – zakomunikował chłopiec. – Jej wygląd zgadza się całkowicie z tym, co napisali w tamtej gazecie. Sama zresztą zobacz: jest kolorowo ubrana? Jest! Nosi modne loki? Nosi! No i te jej czerwone pazury!!! Jejku! Pewnie rozszarpała nimi niejedno młodego kawalera!

– O, ja! – wystraszyła się Kalinka – co teraz zrobimy?

– Uciekniemy jej! Jutro. Zaraz po śniadaniu. Inaczej skończymy w piekarniku jak Jaś... No wiesz, ten od Małgosi.

– Łukasz, ale u ciebie chyba nie ma piekarnika – zastanawiała się Kalina. – No to w mikrofali! Tak czy inaczej, może być gorąco, więc najpierw jej uciekniemy, a potem będziemy się zastanawiać co dalej.



Przyszedł ranek. Ciotka przygotowała śniadanie, obudziła dzieci, a gdy wszyscy usiedli przy stole, zapytała z uśmiechem:

– Czy macie już plany na dzisiejszy dzień?

– Oj, tak – powiedział Łukasz, patrząc w podłogę.

– Ale szkoda! Myślałam, że wybierzemy się gdzieś wspólnie. Nie byłam w Kielcach już very długo i chciałabym zobaczyć jak najwięcej.

Jest w Kielcach wielka galeria handlowa – piękny przeszklony budynek z ogromną ilością wind i ruchomych schodów, które prowadzą nie tylko do sklepów i butików, ale i do bawialni, restauracji, kina...

– I wielu miejsc, które w łatwy sposób odwrócą uwagę tej wiedźmy! – szepnęła Łukaszek.

– Jedźmy? – zapytała ciotka, która na szczęście nie dosłyszała całej wypowiedzi – Dokąd „jedźmy”?



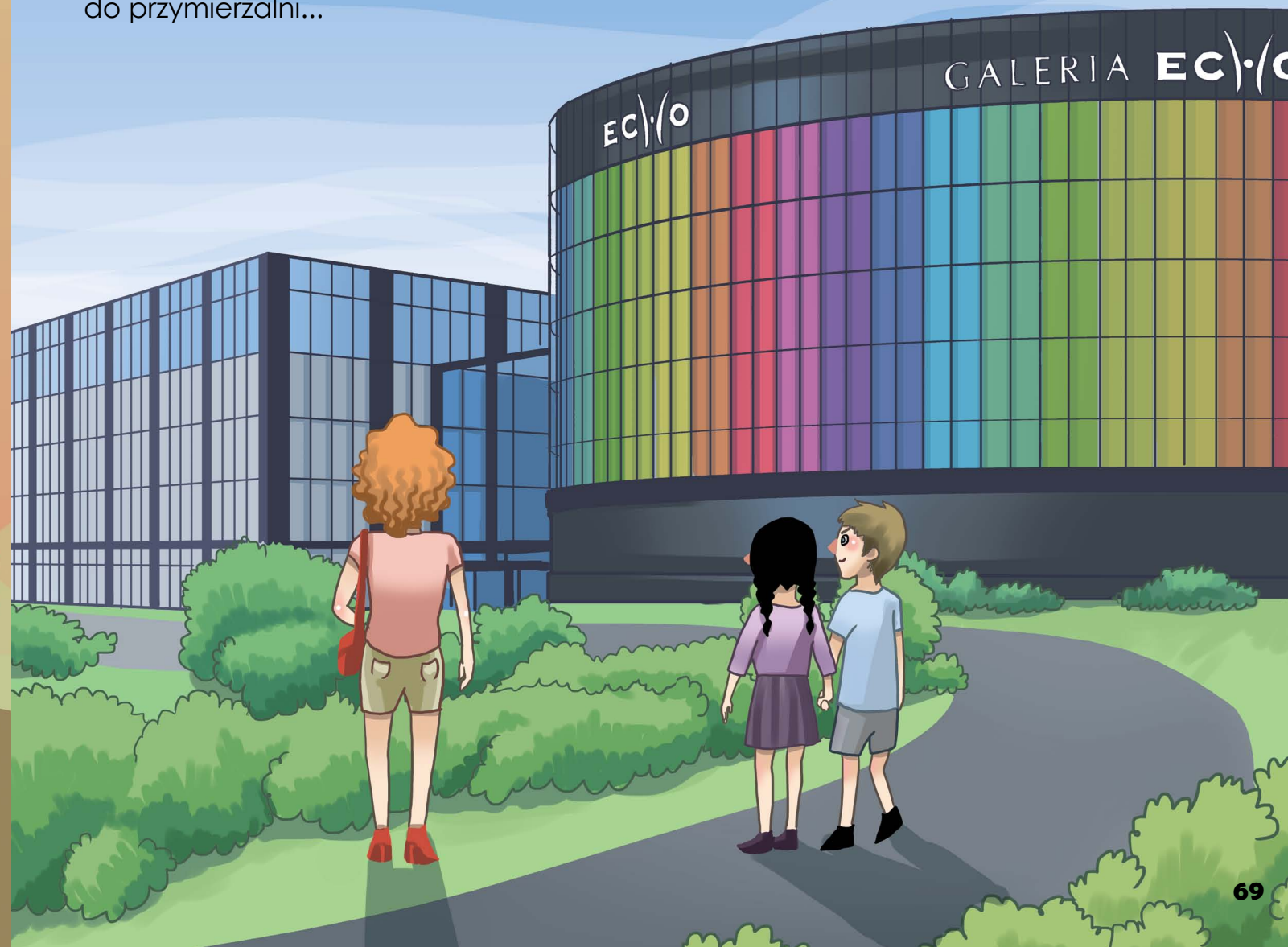
– Do Galerii Echo – powiedziała Kalinka.

– Zobaczysz, jak tam jest super. Tam jest trzysta sklepów! – przekonywał Łukasz.

– Człowiek może tam normalnie zginąć – zachichotała Kalinka.

– A więc jedźmy – zgodziła się ciotka.

Niebawem cała trójka dotarła na miejsce. Spacer po butikach trwał kilka chwil, aż wreszcie, niczego nie podejrzewająca ciocia upatrzyła sobie bluzkę i weszła z nią do przymierzalni...



Tymczasem ciotka wszczęła poszukiwania, które niestety nie przynosiły żadnych efektów. Wreszcie zmartwiona sięgnęła po telefon, by poinformować rodziców o zaginięciu dzieci, kiedy wpadł jej do głowy jeszcze jeden pomysł. Postanowiła wjechać na najwyższe piętro przylegającego do galerii parkingu samochodowego, z którego doskonale widać było niemal całe miasto. I udało się. „Czarownica” spostrzegła dwie kropki, które wydały jej się podobne do Kalinki i Łukasza.

– Mam ich – powiedziała do siebie...

– Teraz, Kalinka! To nasza jedyna szansa – powiedział chłopiec i niewiele myśląc, pociągnął dziewczynkę za sobą. Wybiegając z galerii, wskoczyli do nadjeżdżającego autobusu, który zawiózł ich aż na ulicę Henryka Sienkiewicza – jeden z najpiękniejszych deptaków w Polsce. Uciekinierzy spacerowali przez dobrą chwilę, zastanawiając się, co robić dalej. Plan Łukasza zakładał jedynie ucieczkę. Cała reszta wymagała jeszcze obmyślenia. Ostatecznie więc zatrzymali się obok wodotrysków na wielkim placu, by poczekać na natchnienie. Miejsce wydało im się do tego odpowiednie tym bardziej, że nosiło ono nazwę „Plac Artystów”.

– Kalinka, wiejemy! – zakomenderował Łukasz, widząc ciotkę wysiadającą z taksówki. Najbliższymi otwartymi drzwiami były te, prowadzące do Regionalnego Centrum Informacji Turystycznej. Dzieciaki wpadły przez nie do środka krzyząc:

– **Ratunku! Czarownica!** Na pomoc!!!

Pan siedzący za stołem map i folderów przetarł oczy ze zdumienia. Zanim jednak zdążył cokolwiek powiedzieć, w drzwiach pojawiła się zdyszana ciotka Aniceta.

– Nie zbliżaj się! Wiemy kim jesteś! – pisnęła zdławionym głosem Kalinka.

Ciotkę замуrowało.

– Tak! Czytałem o tobie w gazecie! – dodał Łukasz. – Jesteś czarownicą, co atakuje kawalerów...

Pan z informacji, który sam nie był jeszcze żonaty, wystraszył się trochę. Wstał więc czym prędzej, podniósł rękę i wykrzyknął:

– Stop! Zaraz! O co tu chodzi?

Zbiegiem przypadków na jego biurku leżała ta sama gazeta, od której zaczęły się podejrzenia Łukasza. Chłopiec złapał ją nie pytając o zgodę, odnalazł ów artykuł, podsunął go panu pod nos i nie spuszczał oczu z osłupiałej ciotki.

– Cóż, opis by się zgadzał – uśmiechnął się po chwili pan z informacji. Wreszcie przewrócił kartkę na następną stronę i...

Łukaszek, Kalinka i ciocia siedzieli przy kawiarnianym stoliku, zajadając się lodami. Teraz, kiedy wyjaśnienia i przeprosiny były już za nimi, mogli sobie na to pozwolić. Wodotryski przyjemnie chłodziły powietrze kieleckiego rynku, a na drzewach ćwierkały wróble.



– Więc to była tylko reklama... – powtarzał Łukasz, kręcąc głową – Jak mogłem się aż tak pomylić?

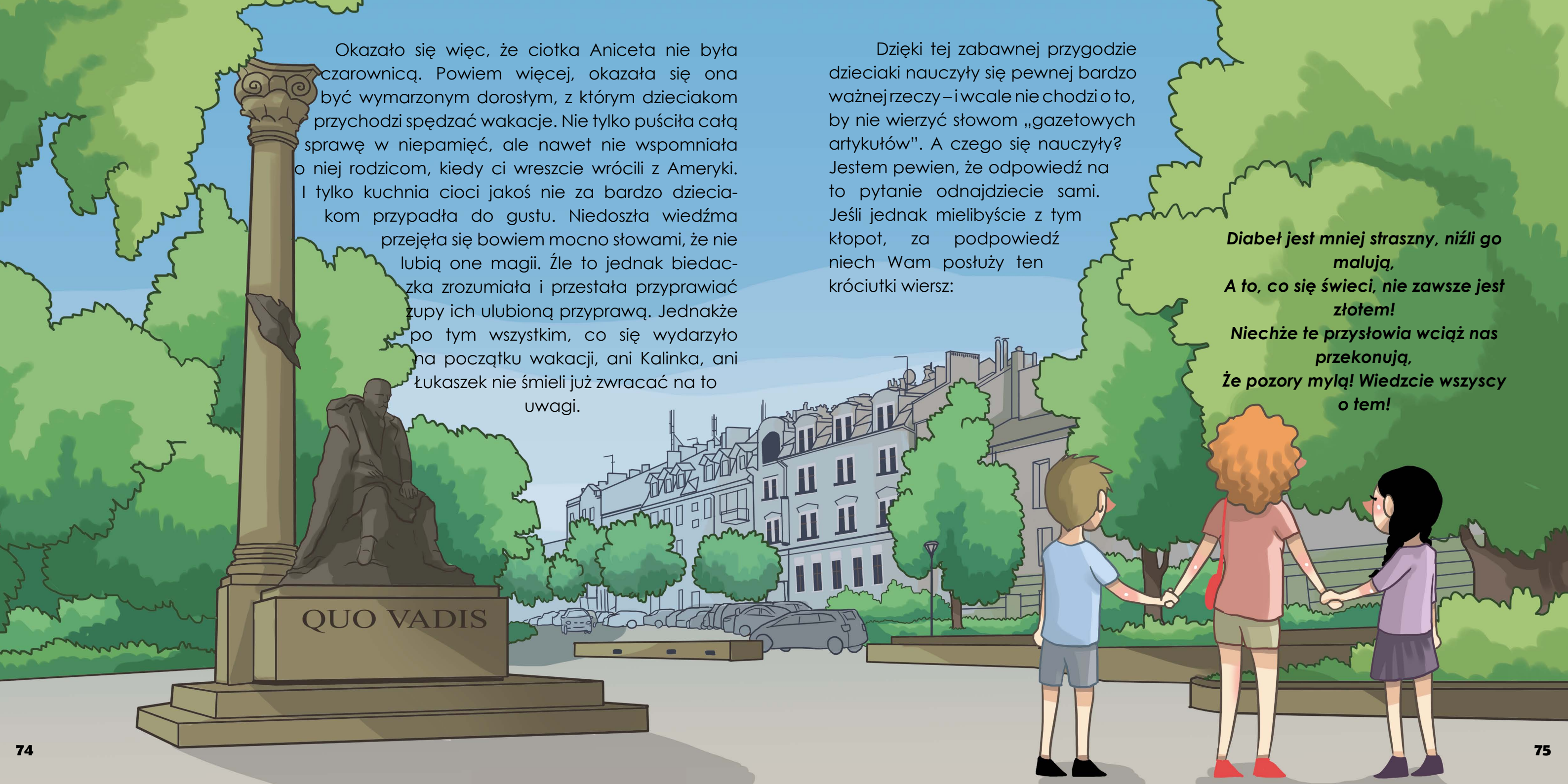
Tamtego feralnego wieczoru biedaczysko po prostu nie doczytał artykułu do końca.

– Gdybym tylko odwrócił kartkę, z pewnością zobaczyłbym ten wielki slogan: „Dzięki naszemu lakierowi, już nikt nie pomyśli, że jesteś grzeczną dziewczynką...”. I nie byłoby całej tej sprawy.



– Nie byłoby całej tej sprawy, gdybyś nie sądził innych po wyglądzie! – wykrzyknęła Kalinka, ciągle jeszcze trochę zła na kuzyna, ale i na siebie, że dała się wciągnąć w taką głupią aferę.

– Cóż, jeśli chodzi o mnie, to slogan mówi prawdę. Wcale nie wziąłem cię za grzeczną dziewczynkę, ciociu! – powiedział Łukasz i wszyscy zaśmiali się serdecznie w rytm hejnału płynącego z kieleckiego ratusza.

An illustration of a park scene. On the left, a large stone monument stands on a tiered base. The monument features a seated figure and a tall column with a capital. The inscription 'QUO VADIS' is visible on the base. In the background, there are green trees and a multi-story building. In the foreground, three children are holding hands in a circle: a boy in a blue shirt and shorts, a girl with red curly hair in a pink shirt and green shorts, and a girl with black hair in a purple shirt and skirt.

Okazało się więc, że ciotka Aniceta nie była czarownicą. Powiem więcej, okazała się ona być wymarzonym dorosłym, z którym dzieciakom przychodzi spędzać wakacje. Nie tylko puściła całą sprawę w niepamięć, ale nawet nie wspomniała o niej rodzicom, kiedy ci wreszcie wrócili z Ameryki. I tylko kuchnia cioci jakoś nie za bardzo dzieciakom przypadła do gustu. Niedośzła wiedźma przejęła się bowiem mocno słowami, że nie lubią one magii. Źle to jednak biedaczka zrozumiała i przestała przyprawiać zupy ich ulubioną przyprawą. Jednakże po tym wszystkim, co się wydarzyło na początku wakacji, ani Kalinka, ani Łukaszek nie śmieli już zwracać na to uwagi.

Dzięki tej zabawnej przygodzie dzieciaki nauczyły się pewnej bardzo ważnej rzeczy – i wcale nie chodzi o to, by nie wierzyć słowom „gazetowych artykułów”. A czego się nauczyły? Jestem pewien, że odpowiedź na to pytanie odnajdziecie sami. Jeśli jednak mielibyście z tym kłopot, za podpowiedź niech Wam posłuży ten króciutki wiersz:

***Diabeł jest mniej straszny, niżli go malują,
A to, co się świeci, nie zawsze jest złotem!
Niechże te przysłowia wciąż nas przekonują,
Że pozory mylą! Wiedźcie wszyscy o tem!***

**PRAWDZIWYCH
PRZYJACIÓŁ
POZNAJE SIĘ...
NA OBIEDZIE**

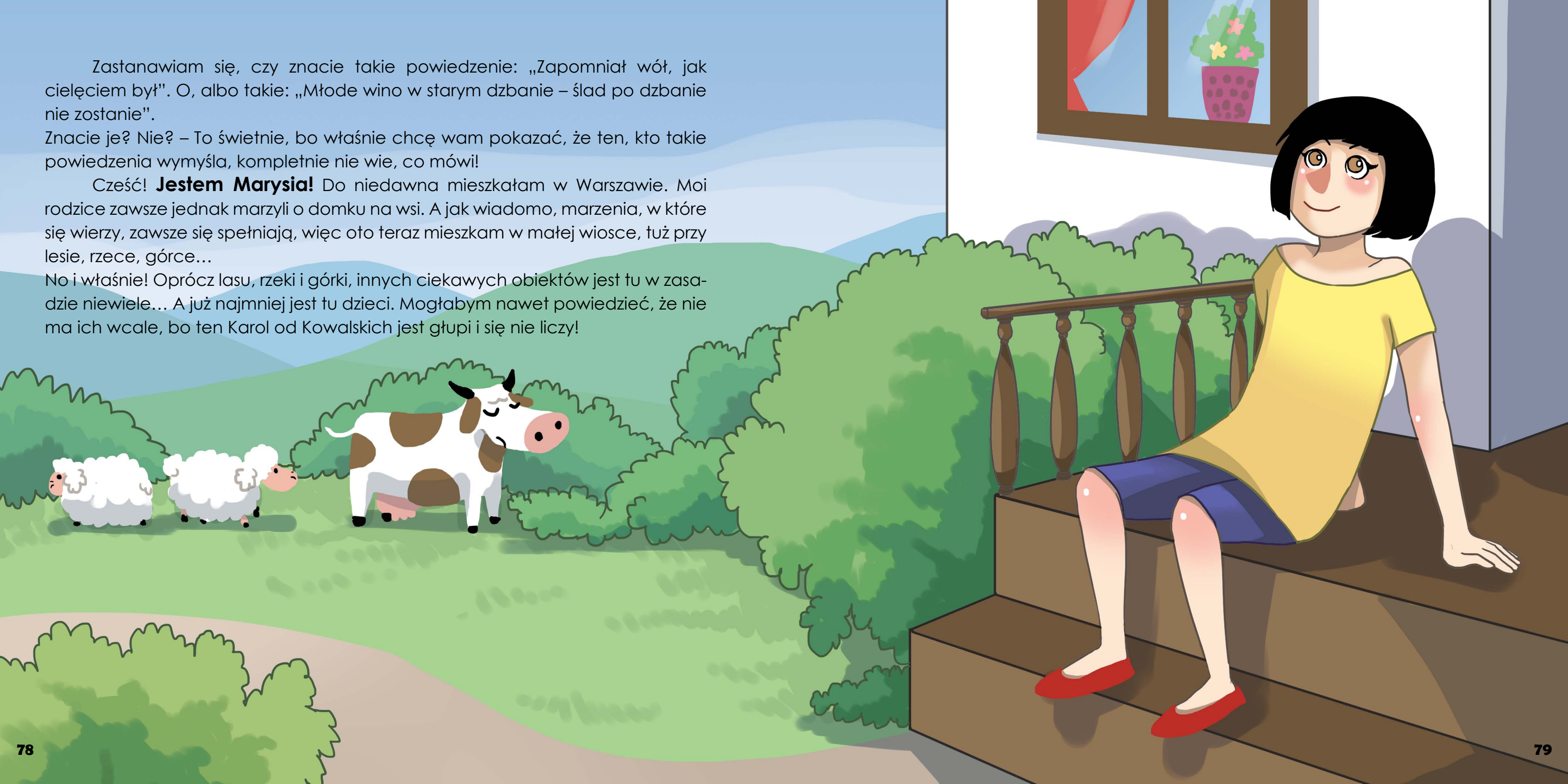


Zastanawiam się, czy znacie takie powiedzenie: „Zapomniał wół, jak cielęciami był”. O, albo takie: „Młode wino w starym dzbanie – ślad po dzbanie nie zostanie”.

Znacie je? Nie? – To świetnie, bo właśnie chcę wam pokazać, że ten, kto takie powiedzenia wymyśla, kompletnie nie wie, co mówi!

Cześć! **Jestem Marysia!** Do niedawna mieszkałam w Warszawie. Moi rodzice zawsze jednak marzyli o domku na wsi. A jak wiadomo, marzenia, w które się wierzy, zawsze się spełniają, więc oto teraz mieszkam w małej wiosce, tuż przy lesie, rzece, górce...

No i właśnie! Oprócz lasu, rzeki i górki, innych ciekawych obiektów jest tu w zasadzie niewiele... A już najmniej jest tu dzieci. Mogłabym nawet powiedzieć, że nie ma ich wcale, bo ten Karol od Kowalskich jest głupi i się nie liczy!





Tak, ale o czym to ja... Właśnie. Przez to, że innych dzieci tutaj nie ma (oprócz Karola, co się nie liczy), no i przez to, że moi rodzice ciągle pracują, mnie – młodej Marysieńce – od jakiegoś czasu zaczęła towarzyszyć nuda. Kiedy wracałam ze szkoły, nasz dom dzwonił jak pusty dzwon. Mama zawsze zabierała komputer ze sobą, a telewizji przecież ciągle oglądać się nie da. Któregoś dnia usłyszałam przypadkiem takie zdanie: **„Jeśli nie masz nic lepszego do zrobienia, zrób coś dobrego”**.

– Dlaczego nie – pomyślałam, i zaczęłam kombinować. Ale jedynym dobrym uczynkiem, jaki wtedy przychodził mi do głowy, było wystrzelenie głupiego Karolka w kosmos. Zaraz jednak zrozumiałam, że to nie byłoby do końca dobre. Kosmici mogliby się przecież obrazić... Mówiąc jednak poważnie, zdanie to utkwilo mi w głowie tak mocno, że za nic nie mogłam go od siebie odkleić.

Do szkoły jeździłam autobusem, a do autobusu chodziłam piechotą. Przystanek, na którym wsiadałam, stał naprzeciw drewnianej, zarośniętej krzewami chatki. A oto widok, jaki oglądałam codziennie: chatka, otaczający ją szczyrбаты płot z tą przylgniętą do niego ławeczką i siedzącą na niej starszą panią. Bez względu na porę roku, dzień tygodnia i pogodę widok zmieniał się tylko nieznacznie, a pani po prostu była, była i była...

Któregoś jednak ranka zobaczyłam, że ławka jest pusta. Zdziwiłam się trochę, ale pomyślałam, że to pewnie nic takiego, że może pani po prostu zasnęła albo coś z tych rzeczy. Jednak, po powrocie ze szkoły, kiedy wysiadłam na tym samym przystanku, ławka wydawała się być jeszcze „pustszą” niż wcześniej. I sama nie wiem czemu, ale pchnęłam drewnianą furtkę, weszłam na podwórko, a potem do domku... Pani leżała w łóżku. Miała bardzo smutne oczy i wyglądała tak, jakby zrobiła już wszystko, co miała do zrobienia, a teraz tylko czekała... Zupełnie jakby nie mogła się doczekać, aż skończy się dzień...



Od tamtego czasu odwiedzałam Panią Janinę, bo tak miała na imię, codziennie. Pomagałam jej robić zakupy, prać oraz gotować obiady. I naprawdę opłacało się, bo kiedy tylko zaczęła wracać do formy, okazało się, że nikt na świecie nie robi tak pysznej kawy z mlekiem i drożdżówki z budyniem, jak ona.

Któregoś dnia zastałam Panią Janinę ubraną w odświętną garsonkę. Były to jej imieniny, o których ja kompletnie zapomniałam. Nie miałam przy sobie żadnego fajnego prezentu, ale złożyłam jej życzenia: zdrowia szczęścia i spełnienia marzeń. Ona zaś usiadła na krześle, podparła ręką zmarszczoną buzię i powiedziała:

– Jestem starą kobietą. Kto wie, czy to nie są moje ostatnie imieniny, Marysiu? Wiesz, o czym tak naprawdę marzę? Ech, gdyby to było możliwe...

Chciałabym poczuć się tak, jak wtedy, kiedy byłam młoda. Chciałabym zobaczyć tę wieś sprzed lat. Taką, w jakiej się urodziłam. Chciałabym znów poczuć się komuś potrzebna... I przestać być tak samotna, jak byłam dotąd...



Następnego dnia przybiegłam z samego rana do Pani Janinki z dwoma biletami autobusowymi. W plecaku miałam termos, kanapki i aparat. I choć łatwo nie było, jakoś się udało – przekonałam wczorajszą solenizantkę, by wsiadła ze mną do nadjeżdżającego autobusu. Niebawem naszym oczom ukazał się znak drogowy z napisem: „**Chęciny**”. Nie był to jeszcze cel podróży, ale autobus dalej nie jechał. Pani Janina ciągle jeszcze się wahała, czy to aby na pewno przystoi w jej wieku jeździć na wycieczki i tym podobne.



Kiedy jednak zobaczyła ruiny zamczyska spoglądające dumnie ze szczytu chęcińskiego wzgórza, uśmiechnęła się i powiedziała:

– Przyjeżdżałam do tego miasteczka wiele razy, ale jeszcze nigdy nie byłam tam na szczycie.

– Najwyższy czas to zmienić – odpowiedziałam i pociągnęłam ją za rękę.

Podejście na wzgórze było faktycznie strome, że niejedna osoba w moim wieku zawracała po drodze, rezygnując z tej wspinaczki. Ale pani Janinka do tych osób nie należała. Podpierając się laską szła kroczonek za kroczonek. Wyżej i wyżej. A gdy dotarliśmy na szczyt, pierwszy raz zobaczyłam, jak śmieją się jej oczy. Zmęczone usiadłyśmy na trawie, opierając plecy o mur zamku.

– Sprawiałaś mi wielką radość, Marysiu. Już nie pamiętam nawet, kiedy ostatni raz byłam poza moim podwórkiem. Czas ucieka, świat się zmienia. Ja też się zmieniałam. Postarzałam się i... ech. Z moją urodą też jest trochę tak, jak z tym zamkiem. Kiedyś był piękny a dziś...

– Co pani mówi! – zaprotestowałam nagle. – Wiele osób twierdzi, że te mury wciąż mają w sobie wdzięk i urok. A wie pani dlaczego? Bo one mają w sobie duszę! I piękno tkwi nie w ich wyglądzie, ale w tej duszy właśnie, we wspomnieniach i wydarzeniach, które się tu odegrały. Myślę, że z ludźmi jest podobnie.



Pani Janina uśmiechnęła się. Podniosłyśmy się prawdopodobnie z jednakowym trudem i powoli zeszyliśmy na dół. Dalej pojechaliśmy autostopem. Pani Janinka wciąż nie wiedziała, dokąd ją zabieram, ale chyba ostatecznie zdała się na moją wyobraźnię. Podróż była krótka, bo trasa liczyła raptem kilka kilometrów. Wsiadaliśmy w miejscowości **Tokarnia** tuż przy wejściu do... **Parku Etnograficznego**. O rany, jakie trudne słowo! Park et.. et... No, ten park to prawdziwa wioska z przełomu XIX i XX wieku. Poprzedniego dnia, kiedy Janinka powiedziała mi, o czym marzy, od razu pomyślałam o tym miejscu.

Tak, Janinka!

Wyobraźcie sobie, że kiedy tylko przekroczyliśmy bramę parku, mojej towarzyszce aż zaparło dech w piersiach. Wyglądała tak, jakby nagle – z minuty na minutę – ubyło jej lat, a z pełnej szczęścia buzi zaczęły znikać zmarszczki.

– Marysiu, daj spokój z tą „panią” – powiedziała. – Przecież ja znów mam czternaście lat! Tu zdjęła buty i na bosaka ruszyła przed siebie piaszczystą drogą między pokrytymi słomą zabudowaniami.



– Jak tu pięknie! Jak cudownie! – krzyczała z radości. – Marysiu, chodźmy do młyna, kupimy mąkę na chleb!

Poszłyśmy. Ogromne drewniane wiatraki stały dumnie, czekając na podmuch wiatru.

– Jak dawniej! Tu jest tak, jak dawniej! Marysiu, chodźmy teraz do szkoły. Zaraz przecież zaczną się lekcje – krzyknęła Janinka.

W starym, obielonym wapnem domku stały rzędy ławek ze skośnymi blatami, w których wycięto okrągłe dziury na kałamarze. Wiem, możecie nie znać tego słowa. Ja też go nie znałam. Kałamarz to takie naczynie, w którym trzymano atrament. Dawniej nie pisało się długopisami, tylko piórkami zakończonymi stalówką, którą trzeba było co i rusz moczyć w atramencie. Pod ścianą stała wielka drewniana tablica i liczydła. Wszystko to jakby czekało na maję tam za chwilę wtargnąć dzieci.



Rozpromieniona Janinka postanowiła odwiedzić jeszcze mały drewniany kościół (wstępując zresztą po drodze do starej apteki, gdzie czas stanął w miejscu jakieś 100 lat temu i do kilku zagród, by przypomnieć sobie wystrój i umeblowanie domów z czasów swojego dzieciństwa).

Kościółek był przepiękny. Kolorowe witraże rozweselały wnętrze, przy suficie wisały słomiane pająki – takie ludowe ozdoby, a z ołtarza uśmiechali się dobrotliwie chyba wszyscy święci. Janinka oparła swoją laskę o ławkę, a sama uklękała i na chwilę stała się jakby niewidzialna. Jej ciało oczywiście było nadal w kościele, ale myśli... Któż to może wiedzieć. Tak czy inaczej pierwszy raz odkąd ją zobaczyłam, wyglądała na prawdziwie szczęśliwą....



Całe to zwiedzanie parku et.. et... (no sami wiecie jakiego) sprawiło, że zgłodniałyśmy tak bardzo, że jeszcze chwila i zaczęłybyśmy naprawdę piec te chleby, o których w żartach mówiła Janinka. Na szczęście przy bramie parku natknęłyśmy się na ogłoszenie restauracji, która znajdowała się w Sobkowie – niespełna kilka kilometrów dalej. Restauracja nosiła nazwę: „Pod zakutym łbem” (nie wiem czemu, ale od razu przyszedł mi na myśl ten Karolek od Kowalskich). Ważne, że kiedy dotarliśmy na miejsce, wprost nie mogłyśmy uwierzyć, że ciągle jesteśmy w teraźniejszości.

Kasztelan zamku, ubrany w piękny szlachecki kontusz, zaprosił nas do środka i zaproponował miejsce przy jednym ze stolików. Usiadłyśmy, wybrałyśmy danie i wtedy Janinka powiedziała, ocierając łzy chusteczką:

– To był najpiękniejszy dzień, jaki przeżyłam od wielu, wielu lat. Szkoda, że już się kończy. Wiesz Marysiu, czułam się dziś wcale nie jak starsza pani, ale jak młoda dziewczyna... Szkoda, że znów muszę wrócić do mojej dawnej roli...

Jak się okazało owa restauracja nazywała się tak wcale nie przez przypadek. Znajdowała się ona bowiem w dawnym zamku rycerskim, gdzie akurat tego dnia odbywał się rycerski turniej. Wokół słychać było tętent koni, chrzęst szabel i dźwięczenie metalowych zbroi.

Na jej twarz powoli zaczęły wracać zmarszczki (a może po prostu wcześniej, kiedy się uśmiechała, nie było ich widać).

– Czy możesz na chwilę wstać, Janinko? – poprosiłam, a kiedy wstała, zapytałam

– gdzie jest twoja laska?

– Nie... Nie wiem... Chyba zostawiłam ją tam, w kościółku w Tokarni... Ale zaraz... To znaczy, że mogę poruszać się bez niej...

– Janinko, przecież od dziś twoja rola może wyglądać zupełnie inaczej! Moja mama zawsze powtarza, że to, czy jesteśmy młodzi, czy starzy, to nic innego jak stan naszego ducha, nasze samopoczucie... – powiedziałam, robiąc zupełnie dorosłą minę.

– Ech, Marysiu! Ja byłam prawie pewna, że nic ciekawego już mnie w życiu nie czeka... I że do końca moich dni będę żyć w samotności... A możesz mi wierzyć, że nie ma nic gorszego od niej... Ale teraz, kiedy pojawiłaś się ty... Marysiu, mimo że jesteś ode mnie tak wiele, wiele młodsza, jesteś moją prawdziwą przyjaciółką... To jednak racja, że prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie...

– **Albo na obiedzie!** –

dodałam i zaśmiałyśmy się tak głośno, że kelner, który przyniósł nam właśnie posiłek, patrzył na nas jak na jakieś dziwaczki.



Teraz widujemy się z Janinką bardzo często. Ona uczy mnie, jak piec takie pyszne drożdżówki, a ja pomagam jej obsługiwać komputer (na zakup którego udało mi się ją w końcu namówić). Kto wie, może wkrótce założymy konto na Facebooku.

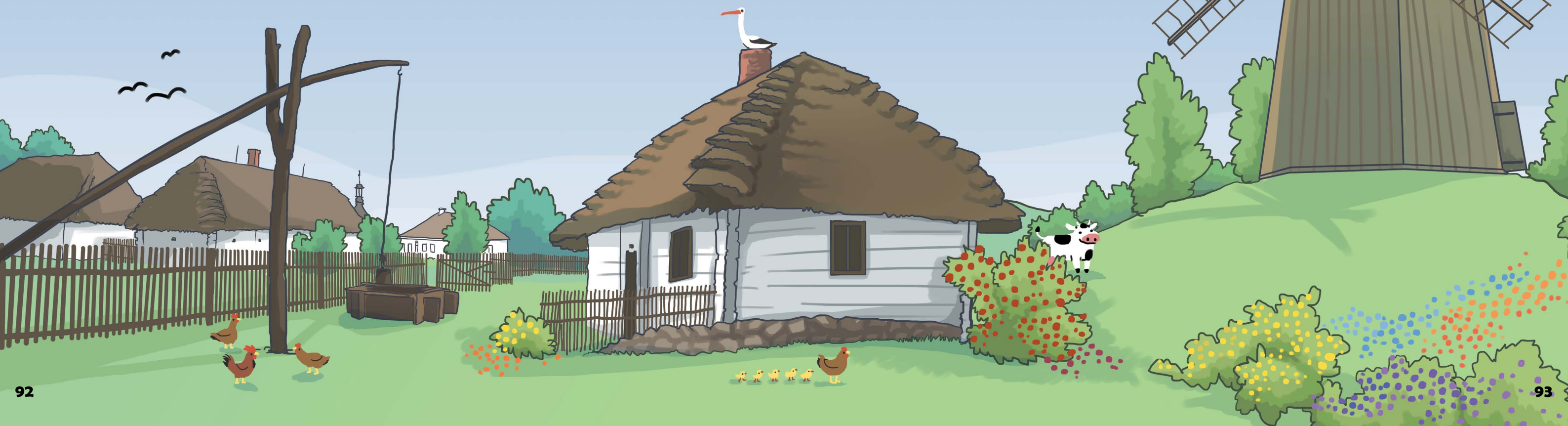
Sami widzicie, że miałam rację! Te powiedzonka, o których wspomniałam na początku (no te – o dzbanie i cielaku), są absolutnie nieprawdziwe. Mówią one, że przyjaźń osób młodych i starszych nie ma szans. Moja przygoda dowodzi jednak czegoś innego. Tak czy inaczej wydaje mi się, że przypadkowo udało mi się zrobić w końcu coś dobrego. Może to dlatego, że nie miałam nic lepszego do roboty...

P.S. Ten Karolek od Kowalskich chyba jednak nie jest aż taki głupi, jak myślałam na początku. Janinka powiedziała, że on tak fajnie mi się przygląda... Nie wiem za bardzo, co to znaczy, ale w sobotę idę razem z nim na lody, więc go zapytam...



Drogi słuchaczu i czytelniku, ty także zrób coś dobrego! Jest przecież tyle dobrych pomysłów, na które wystarczy po prostu wpaść!!! Jednym z nich może być chociażby wycieczka do wspomnianych tu **Chęciny**, gdzie zwiedzisz nie tylko ruiny zamku Królowej Bony, ale i rynek, synagogę oraz wiele innych ciekawych miejsc. Sześć kilometrów dalej, w **Tokarni** jest ów park etnograficzny. Zobaczysz tam jak żyli, pracowali i bawili się mieszkańcy dawnej świętokrzyskiej wsi. A skoro już będziesz w tamtych stronach, wybierz się także do **Sobkowa**. Jest tam zamek rycerski, a w nim hotel i restauracja, w której na obiedzie poznaje się prawdziwych przyjaciół...

Pakuj zatem plecak i biegnij przygodzie na spotkanie! **Powodzenia!**



Województwo Świętokrzyskie dysponuje bogatą ofertą edukacyjną, dzięki czemu stwarza wymarzone warunki do turystyki rodzinnej. Wśród niezliczonych atrakcji każdy młody turysta znajdzie coś dla siebie, o każdej porze roku. Malownicze zakątki, multimedialne ekspozycje, parki linowe, zamki, pałace, ślady prastarych zwierząt i... prawdziwe czarownicenamiotle – to wszystko znajdziecie właśnie w naszym regionie. Spośród wielu atrakcji koniecznie trzeba odwiedzić Europejskie Centrum Bajki w Pacanowie po to, aby spotkać się z Koziołkiem Matołkiem i bajkową wróżką. Interaktywne zabawy przy wykorzystaniu technik multimedialnych przeniosą Was w zaczarowany świat marzeń i snów. Po długim roku szkolnym najlepiej odpocząć wraz z rodziną i przyjaciółmi podziwiając baśniowe krajobrazy z okien Ciuchci Express Pondzie.

Kolejnym punktem programu na liście obowiązkowych do odwiedzenia jest bijący rekordy popularności Białtów, gdzie atrakcji z pewnością wystarczy na cały dzień. Dzięki wizycie w JuraParku i oceanarium udamy się w podróż w czasie do ery prehistorycznych gadów, a podczas safari dzięki zwierzęta będą dosłownie na wyciągnięcie ręki. Zimą możemy odwiedzić Wioskę Świętego Mikołaja, a uwielbiane przez najmłodszych kino 5D zapewni moc wrażeń nawet najbardziej wymagającym. Na dociekliwych poszukiwaczy zagadek czekają specjalnie opracowane questingi, a na odważnych ... rollercoaster!

Wielbiciele geologii bez wahania powinni wybrać się do Jaskini Raj oraz zobaczyć podziemne korytarze na Kadzieli w Kielcach, zaś w Centrum Geoedukacji przy rezerwacji Wietrzni czeka ich spotkanie z rybą pancerną oraz emocjonująca podróż do wnętrza Ziemi w kapsule 5D. Podczas zwiedzania, jak i na licznych zajęciach geoedukacyjnych mamy okazję poznać dawnych mieszkańców dewońskiego morza i przyrzeć się ich skamieniałościom. Najlepszą kontynuacją wspaniałej przygody z odkrywaniem tropów prehistorycznych zwierząt jest Muzeum Przyrody i Techniki w Starachowicach i... znajdująca się w nim ekspozycja paleontologiczna, która sprawia, że czas staje w miejscu.

Świętokrzyski Park Narodowy i okolice Kielc to wprost kopalnia atrakcji, które musicie zobaczyć: Park Rozrywki i Miniatur w Krajnie, Centrum Kulturowo-Archeologiczne w Nowej Słupi, Gołoborze na Świętym Krzyżu i zachwycająca przyroda Puszczy Jodłowej. W Osadzie Średniowiecznej u stóp Łysej Góry poznamy wszelkie tajniki średniowiecznego rzemiosła, udamy się w magiczną podróż w wehikule czasu, a może uda się spotkać... długo wypatrywane czarownice? To nie jedyna niespodzianka jaka czeka na najmłodszych w Hucie Szklanej: chatka na kurzej stópce, domek Jasia i Małgosi, jaskinia Zbója Madeja i tunel strachu. To wszystko sprawia, że kompleks BabyJagowo wydaje się idealnym miejscem na wycieczkę szkolną czy rodzinną.



Zastanawiacie się skąd się biorą kryształki i jak to się dzieje, że mienią się tysiącem barw? Odpowiedź na te i wiele innych pytań znajdziecie w Galerii Mineratów i Skamieniałości w Świętej Katarzynie – miejscowości położonej u stóp Łysicy – najwyższego szczytu Gór Świętokrzyskich. W Kopalniach krzemienia pasiastego w Krzemionkach (koło Ostrowca Świętokrzyskiego) dowiedziecie się na czym polega fenomen wyjątkowego skarbu regionu świętokrzyskiego, nazywanego kamieniem optymizmu.

Będąc w Kielcach nie możemy pominąć Muzeum Zabawek i Zabawy – największego i zarazem najstarszego tego typu muzeum w Polsce. Wśród kilku tysięcy eksponatów możemy zobaczyć lalki z całego świata, zabawki historyczne i ludowe, modele samochodów, samolotów, statków, kolejkę elektryczną i marionetki teatralne. Dzięki interaktywnym wystawom i multimediom młodzi odkrywcy mogą nie tylko zobaczyć, ale też

dotknąć historycznych zabawek. Uzupełnieniem przygody w Muzeum jest szeroka oferta lekcji muzealnych oraz warsztatów.

W Zagnańsku mamy niepowtarzalną okazję, aby nabrać sił w cieniu sędziwego dębu „Bartek”, nazywanego królem puszczy Świętokrzyskiej. Według legend odpoczywali tu Bolesław Krzywousty i Jan III Sobieski, a najbardziej śmiało prognozują „Bartkowi” prawie 1000 lat. Dla spragnionych przestrzeni młodych miłośników historii oraz sztuki ludowej wymarzone miejsce będzie Park Etnograficzny w Tokarni, a stąd już blisko do Jędrzejowa, gdzie znajduje się unikatowe Muzeum im. Przypkowskich. Zgromadzone tam zbiory zegarów słonecznych i przyrządów astronomicznych zyskały miano trzeciej kolekcji tego rodzaju na świecie.

W Kurozwękach z pewnością nie będziecie się nudzić – miłośnicy zwierząt mają okazję stanąć oko w oko z prawdziwym amerykańskim bizonem oraz zobaczyć mini zoo, natomiast spragnieni przygód dołączyć do grupy poszukiwaczy skarbu na terenie Pałacu. Na wizytę w królewskim mieście Sandomierzu warto poświęcić cały dzień, aby zobaczyć wąwóz Królowej Jadwigi, Zamek Królewski, Park Piszczele, udać się w rejs statkiem po Wiśle, poczuć unoszący się w powietrzu zapach róż w Górach Pieprzowych, a może nawet spotkać jadącego na rowerze Ojca Mateusza? Idąc śladem duchów dawnych czasów udajmy się choć na kilka godzin do Ujazdu, gdzie zachwycą nas monumentalne ruiny zamku Krzyżtopór, który jest typowym przykładem tzw. „palazzo in fortezza”, czyli reprezentacyjnej rezydencji przystosowanej do obrony. Kto nie słyszał o słynnej ćmielowskiej porcelanie? W tamtejszej manufakturze, Żywym Muzeum Porcelany można obserwować na żywo i poznać skomplikowany proces jej wyrobu, a także uczestniczyć w warsztatach ceramicznych pod okiem doświadczonego instruktora.

Po tak intensywnym programie zwiedzania czas na prawdziwy relaks lub odrobinę sportowego szaleństwa. Miłośnicy lata i sportów wodnych mogą pod czujnym okiem rodziców i instruktorów uczyć się żeglarstwa, wybrać się na spływ kajakowy, czy wynająć rowery wodne. Liczne szlaki piesze oraz ścieżki rowerowe pozwolą aktywnie spędzić każdy weekend i poczuć na własnej skórze prawdziwą magię Gór Świętokrzyskich. Nie od dziś wiadomo, że jak uczyć się jazdy na nartach to tylko w naszym regionie! Świętokrzyskie stoki są bowiem długie i łagodne, a profesjonalni instruktorzy czekają właśnie na Ciebie! Amatorzy zimy będą prawdziwie zaskoczeni jak wiele możliwości oferuje nasz region: aż 8 stoków narciarskich, lodowiska, narciarska trasa biegowa, przedszkole narciarskie dla najmłodszych i kuligi z pochodniami.

Przyjedź i zakochaj się w Świętokrzyskiem!



SPIS TREŚCI

Jurek Chwat i tajemnicza skrzynia	1
Opowieść o marzeniach i dobrej fryzurze	21
Opowieść o zbędnym rycerzu	41
Pazury mylą	61
Prawdziwych przyjaciół poznaje się na obiedzie	77



Regionalne Centrum
Informacji Turystycznej w Kielcach
ul. Sienkiewicza 29
25-007 Kielce
tel. 41 348 00 60
e-mail: informacja@swietokrzyskie.travel
www.swietokrzyskie.travel





